

ORAS. 2552/1976/21



## NADSZTYGAR STYCZEŃ

Maciej Podgórski str. 7

## MALARSTWO CZYLI OBRONA WARTOŚCI

str. 8-9

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# KAMENIA

LUBLIN 17 X 1976 Nr 21 (611)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

W grupie naukowców, którym przed rozpoczęciem roku akademickiego Rada Państwa przyznała tytuły profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, znalazło się dziesięć osób z Lublina i Puław. Prof. dr hab. Zdzisław Cackowski, który otrzymał nominację na profesora zwyczajnego, jest dyrektorem Międzyuczelnianego Instytutu Filozofii i Socjologii UMCS.

## FILOZOFIA NAUKĄ PASOŻYTNICZĄ

ROZMOWA Z PROF. DR. HAB.  
ZDZISŁAWEM CACKOWSKIM

— Wpływ filozofii na kształtowanie się życia społecznego, na świadomość społeczną jest niewątpliwy. Ale jakimi przebiega on drogami, jakie są tego rezultaty?

— Aby filozofia mogła wywierać wpływ na życie społeczne, musi być filozofią realistyczną, musi wyrastać z życia. Wpływa na życie społeczne o tyle, o ile z niego wyrasta. Nie może wobec życia społecznego zajmować postawy mentorskiej — zakładając, że filozofowie mają jakąś tam mądrość nie wiadomo skąd i tę mądrość przekazują praktyce życia społecznego postulując, aby ono się podporządkowało normom filozoficznym. Twierdzenie to jest uszczegółowieniem znacznie ogólniejszej tezy, która jest podstawową tezą marksistowskiej teorii odbicia. Wiadomo mianowicie, że informacja, którą człowiek zdobywa w działalności poznawczej, służy temu, aby sterować naszym życiem w świecie. Ale warunkiem skutecznego sterowania jest adekwatność informacji wobec świata, w którym sterowane działanie przebiega.

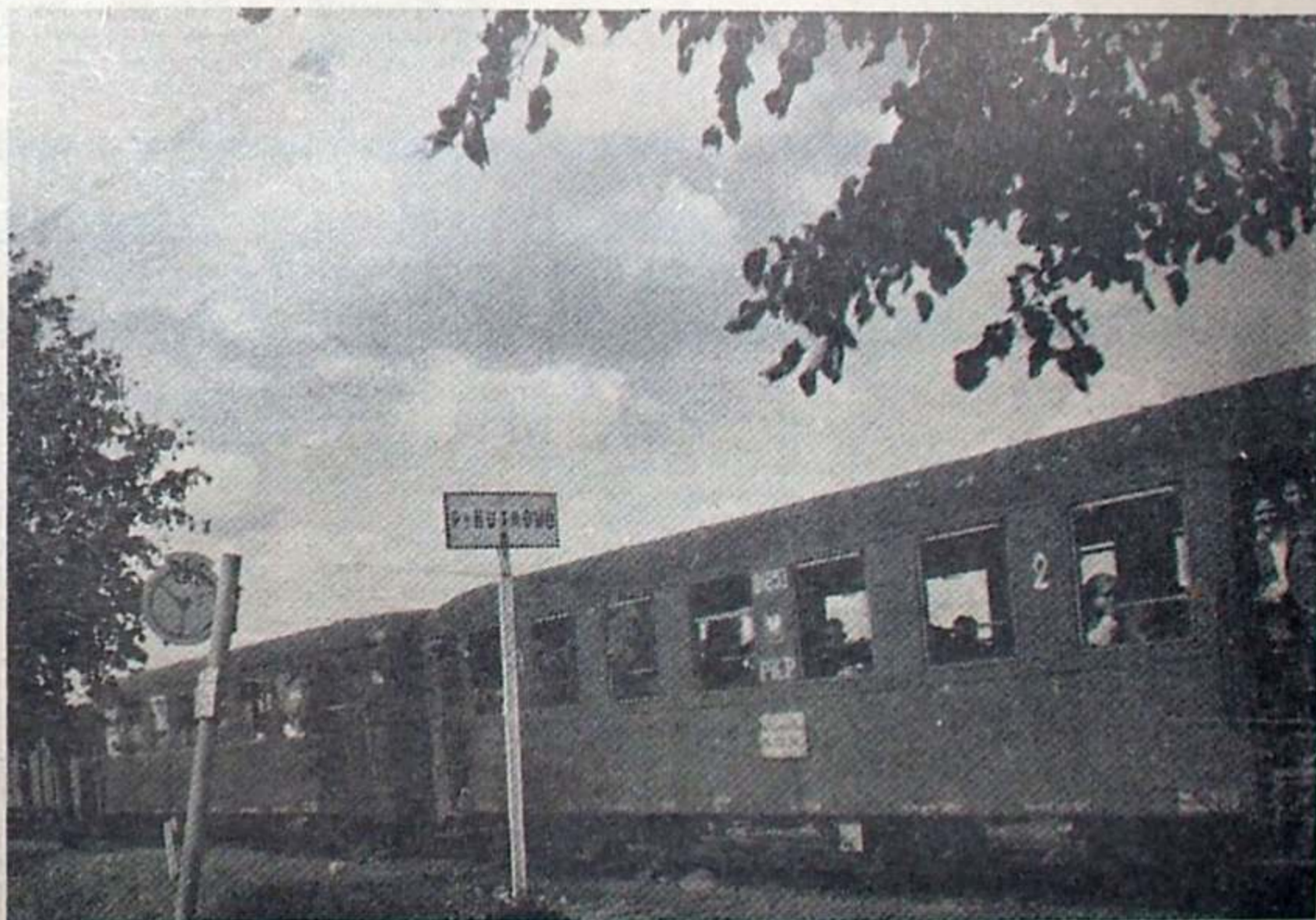
Wpływy filozofii na życie społeczne są przeróżne. Jeżeli filozofia formułując pewne tezy o przebiegu ludzkiego poznania, czerpie je nie z sufitu, ale z badań nad rzeczywistą historią ludzkiego poznania, to tezy te mogą być podstawą dla dyrektyw poznawczych, mogą być elementami płodnej naukowo metodologii. Jeżeli filozofia pokazuje, jak z życia praktycznego wyrastają pewne wartości, którym ludzie podporządkowują swoją działalność, poświęcają swój czas, zdrowie, czasem nawet życie, jeżeli pokazuje, jak te wartości organizują szersze zbiorowości — to tym samym filozofia pomaga organizować ludzi, zespała ich wysiłki w jednym kierunku, a więc wzmacnia ich skuteczność.

W życiu indywidualnym filozofia pomaga jednostce ukonstytuować światopogląd, określić miejsce w życiu, zrozumieć cele, które sobie ta jednostka pod wpływem życia społecznego kształtuje. Często człowiek ma te cele zanim zetknie się z filozofią, ale ona pomaga je uporządkować i głębiej zrozumieć.

Dokończenie na str. 3

## Pikutkowo - wysiadać!

Adam Chowański



Fot. H. Vogel-Rząsa

**N**AJPIĘKNIEJSZE podróże odbywa się podobno do miejsc, gdzie miały przebywać postacie żyjące w naszej wyobraźni. Przynajmniej tak mówi Parandowski. Są jednak także zakątki nie wiadomo skąd znane, gdzie tych postaci nie ma — miejsca godne poznania po prostu dla nich samych. Dla przekonania się, czy własny obraz zgodzi się z rzeczywistością, czy nie. Miejsca takie jak Pikutkowo.

Jedzie się wygodnie i od Włocławka niedługo, może z pięćdziesiąt minut. Za nami już Smólsk, Popowiczki. Przed ostrym zakrętem lokomotywa gwizdzie Szczęka zelastwo. Stajemy.

Konduktor krzyczy, co trzeba. Parę osób wysiada i gubi się szybko w plenerze. Parowozik fuka z natężeniem, pociąg sznur wagoników. Ostatni przelatuje już w pędzie.

Pikutkowo Centralne to zwykły stary wagon bez kół. Skoncentrowany smutek. To, co stworzone do jeżdżenia, nie pojedzie już nigdy. Nawet okna i drzwi zdążyły się już komuś przydać. Wewnątrz, wśród żółtych obwieszceń i prastarych plakatów list namazany kredą: „Przyjdź do mnie na jednego. Maniek”. To by już coś mówiło o tak zwanej nadbudowie kulturalnej. Patrzymy no tylko dalej.

Dokończenie na str. 4

## WYWIAD

# LEONIDA BREŻNIEWA

**W** DNIU 5 października stacje telewizyjne w Moskwie i w Paryżu nadały wywiad, jakiego udzielił telewizji francuskiej Sekretarz Generalny KC KPZR Leonid Breżniew. W całości lub obszernych wyjątkach został on przedrukowany we wszystkich krajach, budząc zrozumiałe zainteresowanie. Oto kilka fragmentów z tego wywiadu:

Spójrzmy konkretniej, co przynosi odprężenie: jest to droga od konfrontacji do współpracy, od pogroźek i pobrękiwania bronią do rozwiązywania spornych problemów drogą rokowań i w ogóle przebudowa stosunków międzynarodowych na zdrowych zasadach pokojowego współistnienia, wzajemnego szacunku i wzajemnych korzyści. (...)

Myli się ten, kto sądzi że kontakty i wymiana w dziedzinie gospodarki oraz nauki i techniki są nam potrzebne bardziej niż innym. Cały import ZSRR z krajów kapitalistycznych stanowi mniej niż półtora procent naszego globalnego produktu społecznego. Jasne, że nie ma to decydującego znaczenia dla rozwoju radzieckiej gospodarki. (...)

Pragnęlbym podkreślić, że rozwój sytuacji międzynarodowej oceniamy przede wszystkim w zależności od tego, w jakiej mierze udaje się pounąć napróżd sprawę utrwalenia pokoju i wyeliminowania groźby wojny nuklearnej. Naszym zdaniem, w ostatnich latach osiągnięto w tej dziedzinie konkretne, pozytywne wyniki. (...)

Tak, Związek Radziecki dysponuje imponującymi siłami zbrojnymi.

Oświadczamy jednak jasno i wyraźnie: Związek Radziecki nikomu nie zagraża i nie zagraża, a w każdej chwili gotów jest do redukcji sił zbrojnych na zasadzie wzajemności.

Zmuszeni jesteśmy doskonalić swoją obronę, powtarzam, jesteśmy zmuszeni, ponieważ stawia się nas przed faktem niepożamowanego wyścigu zbrojeń. Raz po raz rozlegają się głosy, że czołowe państwo NATO „powinno być najsilniejsze w świecie”, że NATO jako całość powinno zwiększyć swój potencjał zbrojeniowy i tym samym wspierać stałą presję na Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne. Oto co z taką siłą podsyca wyścig zbrojeń w świecie współczesnym. (...)

Co się tyczy Związku Radzieckiego, to szanujemy i realizujemy osiągnięte w Helsinkach porozumienia we wszystkich ich częściach, podkreślam, we wszystkich. Sprawa główna w tych porozumieniach jest to wszystko, co wiąże się z utrwaleniem bezpieczeństwa i pokoju. Jednakże, bynajmniej nie pomniejszamy znaczenia współpracy w dziedzinach gospodarki, nauki i techniki, kultury i informacji, w rozwijaniu kontaktów między ludźmi i realizacji posunięć prowadzących do zaufania.

Związek Radziecki jest zwolennikiem zjednoczenia wysiłków na ogólnoeuropejskiej podstawie, w celu rozwiązania pilnych zadań w dziedzinach energetyki, transportu, ochrony środowiska naturalnego. Nasze propozycje w tej sprawie są dobrze znane. (...)

**W**YBORY parlamentarne, zresztą nie tylko parlamentarne, są niewątpliwie sprawą wewnętrzną każdego państwa. Z drugiej jednak strony żadne państwo świata nie istnieje w próżni, zajmuje jakąś pozycję w polityce i gospodarce, samym swoim istnieniem i potencjałem wpływa w jakiś sposób na sytuację międzynarodową. Są państwa, które zajmują bardziej eksponowane miejsca, których wpływ na sytuację międzynarodową jest większy niż innych. Stąd też wybory parlamentarne w tych ostatnich państwach budzą szczególne zainteresowanie w całym świecie.

Tak było z wyborami we Włoszech, gdzie rządząca od lat trzdziestu przy pomocy różnych kombinacji koalicyjnych chadecja musiała ostatecznie uznać werdykt wyborców, że najsilniejszą i najbardziej popularną partią w

czy też do władzy dojdzie CDU/CSU. Przewidywania przedwyborcze w wielkiej mierze minimalnie faworyzowały koalicję SPD/FDP — i ona właśnie odniosła zwycięstwo, chociaż prawdą jest, że CDU/CSU pozostało największą frakcją parlamentarną.

Ogólnowiatowe zainteresowanie wyborami niemieckimi wynikało stąd, że w Republice Federalnej Niemiec są jeszcze duże i aktywne siły, sprzeciwiające się bezpieczeństwu i współpracy międzynarodowej. O ile koalicja socjaldemokratów i wolnych liberalistów poprzez cały system tzw. układów wschodnich, przede wszystkim z Polską i Związkiem Radzieckim, wniosła rzeczywisty wkład w normalizację stosunków z krajami socjalistycznymi — to CDU/CSU całą swoją kampanią przedwyborczą jak i wytyczeniem dalszych celów pragnęła proces ten zatrzymać, a w niedalekiej przyszłości

## WYBORY

tych kraju stała się Włoska Partia Komunistyczna. Konsekwencje tego faktu, zarówno wewnętrzne jak i międzynarodowe, są już znaczne, a niewątpliwie będą wzrastały — i nie dziwnego, że sprawy z tym związane były i są przedmiotem zainteresowania w całym świecie.

Wybory w Szwecji zakończył się pewną niespodzianką, gdyż po 44 latach rządzenia socjaldemokracja musiała przekazać rządy w ręce prawicowej koalicji, chociaż socjaldemokracja, z którą współpracują komunistki, nadal pozostała najsilniejszym ugrupowaniem politycznym w tym kraju. Wyborom jak i ich wynikowi w Szwecji towarzyszyło jednak znacznie mniejsze zainteresowanie, bo chociaż wśród krajów nordyckich zajmuje ona czołowe miejsce, to zarówno w czasie kampanii przedwyborczej, jak i po samych wyborach pełno było oświadczeń, że tak w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej nie nastąpią żadne zmiany. Patrząc z zewnątrz można przypuszczać, że jakieś zmiany nastąpią, nie będą one jednak miały — zapewne — zasadniczego wpływu ani na pozycję Szwecji w świecie, ani na jej stosunki z innymi państwami, układające się ostatnio na zasadzie aktywnej neutralności.

Bez porównania większe zainteresowanie towarzyszyło wyborom do zachodniemieckiego Bundestagu. RFN w sojuszu państw zachodnich, zarówno politycznie jak i wojskowo, odgrywa coraz większą rolę. Upraszcza nieco sprawę chodziło o to, czy większość społeczeństwa tego kraju wypowie się za sprawującą rządy koalicją SPD/FDP

być może usiłować odwrócić. Hasła nacjonalistyczne i antykomunistyczne przeplatały się nawet z tak prowokacyjnymi oświadczeniami, aby strzelać „poprzez granicę” — co w pierwszym rzędzie miało odnosić się do NRD, a w dalszej kolejności także do innych krajów socjalistycznych. I nie była to tylko mniej lub więcej skrywana sugestia — pamiętać należy, że RFN leży na styku dwóch najpotężniejszych bloków militarnych świata, jest to więc punkt szczególnie zapalny.

Prawdą jest, że koalicja SPD/FDP straciła w porównaniu z poprzednimi wyborami, zresztą najlepszymi dla siebie w okresie powojennym. Posiada jednak większość osmiu mandatów, co w pełni wystarcza do dalszego sprawowania władzy. Przypomnijmy, że swego czasu kanclerz Adenauer posiadał większość zaledwie jednego głosu.

Jaka konkluzja? Warto przytoczyć zakończenie artykułu w „Trybunie Ludu” (nr 239):

Z naszej strony nie mamy powodów, by ukrywać satysfakcję z powodu pozostania przy władzy rządu Schmidta-Genschera. Znamy stosunek tego rządu do Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy (CDU ustosunkowała się do niego zdecydowanie negatywnie). Wiemy, że realistycznie ocenia istniejący układ sił. Ważne jest też to, że przy władzy w Bonn pozostają reprezentanci sił, które nieprzerwanie od 1969 r. prowadzą dialog z krajami socjalistycznymi, w tym ze Związkiem Radzieckim i z Polską. Do zrobienia dla sprawy pokoju i bezpieczeństwa jest jeszcze wiele.

## KONKURS MŁODYCH SKRZYPKÓW

W dniach od 17 do 24 października odbędzie się w Lublinie Konkurs Młodych Skrzypków, zorganizowany w ramach III Dni Henryka Wieniawskiego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Urząd Wojewódzki w Lublinie oraz Towarzystwo Muzyczne im. H. Wieniawskiego. Przesłuchania będą odbywać się w sali koncertowej Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Lublinie przy ul. Piłsudskiego 18, codziennie w godzinach od 9 do 13 i od 14,30 do 18 lub 19. Uroczysty koncert laureatów odbędzie się 24 października o godz. 17.

Przesłuchania będą odbywać się w sali koncertowej Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Lublinie przy ul. Piłsudskiego 18, codziennie w godzinach od 9 do 13 i od 14,30 do 18 lub 19. Uroczysty koncert laureatów odbędzie się 24 października o godz. 17.

# w którym żyjemy

### SŁOŃCE

**S**ŁOŃCE dostarcza na Ziemię tysiąc razy więcej energii, niż ludzkość będzie potrzebowała w roku dwutysięcznym, trzeba więc zrobić wszystko, aby tę energię możliwie najszybciej wykorzystać — oto hasło, pod jakim obradowało niedawno w Alès w Francji 250 naukowców z całego świata.

W kilku państwach są już domy, ogrzewane energią słoneczną. Sprzedaje się nawet po 150 dolarów za metr kwadratowy specjalne „lustra” złożone z małych kryształków, które pozwalają wychwytywać promienie słoneczne i zużywać je do ogrzewania wody. Istnieje nawet samochód, na którego dachu zainstalowano 600 tys. takich kryształków, dzięki czemu samochód ten w dzień bardzo słoneczny może przejechać do 60 km.

W chwili obecnej problem polega, twierdzą naukowcy, nie na „chwytaniu” i przetwarzaniu energii słonecznej, ale na jej magazynowaniu. Dotychczas w praktyce udaje się to na kilka godzin, laboratoryjnie najwyżej do dwóch dni.

Możliwa do wykorzystania energia słoneczna pada na Ziemię bardzo nierównomiernie — najwięcej jest jej w krajach dopiero rozwijających się. Tam może być wykorzystana do uruchomienia

nia wielkich chłodziń dla artykułów żywnościowych i wyrobów farmaceutycznych. W Europie z energii słonecznej można korzystać przeciętnie przez tysiąc godzin rocznie, w krajach podzwrotnikowych przez cztery tysiące. Jeżeli nauczymy się tę energię wykorzystywać na skalę przemysłową ropa i węgiel staną się surowcami mało potrzebnymi. Ale kiedy to nastąpi — nikt nie wie.

### KONIEC?

**M**UHAMMED Ali, były dawny Cassius Clay, odniósł kolejne zwycięstwo na ringu. Po piętnastorundowym pojedynku na Yankee Stadium w Nowym Jorku z Kenem Nortonem trzech sędziów jednomyślnie uznało, że był on lepszym bokserem i obronił tytuł mistrza świata wszechwag zawodowców. Jednak jego przeciwnik jest odmiennego zdania i wniósł odwołanie do komisji sędziowskiej stanu Nowy Jork twierdząc, że przez 14 rund on był lepszy. Ali zaś uzyskał minimalną przewagę tylko w ostatniej rundzie.

Ali natomiast po pojedynku oświadczył, że jest gotów stoczyć następną walkę ze zwycięzcą pojedynku Norton — Foremanem. Jednak kilka dni później w Istambule powiedział, iż w wieku 31 lat i po 56 walkach, z których 53 wygrał, czas wycofać się z ringu. Nie będzie już walczył i poświęcił się nawracaniu ludzi na islam, którego wyznawcą stał się przed kilku

laty. Kiedy jednak organizator meczów bokserkich Don King oświadczył, że za pojedynkę z Foremanem gotów wypłacić Alemu 10 milionów dolarów, jeżeli ten pojedynek nastąpi w ciągu trzech miesięcy, Ali odpowiedział: muszę się namyślić, bardzo potrzebuję pieniędzy.

### PROCES

**N**AJBARDZIEJ luksusowym kabaretem w Paryżu jest Crazy Horse Saloon. Aby tam spędzić wieczór (i noc), trzeba mieć dobre wypchany portfel. Wystarczy powiedzieć, że kieliszek whisky kosztuje tam obecnie 140 franków, czyli ponad 20 dolarów.

W dużym budynku przy Avenue George V, gdzie mieści się kabaret, znajdują się same biura. Tylko tuż nad sufitem dużej sali jest mieszkanie, zajmowane przez emerytowanego pułkownika Jena Hercisse. Pułkownik wraz z żoną wnieśli do sądu skargę o odszkodowanie, twierdząc, że od roku 1971, gdy w kabarecie zaczęła występować orkiestra młodzieżowa, nie mogli spędzić spokojnie ani jednej nocy. Zaliczone do skargi orzeczenie eksperta stwierdza, że od godziny 23 do 4 rano dźwięki muzyki w mieszkaniu pułkownika mają nasilenie 120 decybeli, a więc o 10 więcej, niż wytwarza samolot Concord. W tej sytuacji pułkownik domaga się 250 tys. franków odszkodowania, twierdząc, że stawka 100

franków za jedną noc nie jest wygórowana, stanowi bowiem równowartość zaledwie jednego kieliszka whisky.

### PIRACI

**C**ZY w dzisiejszych czasach istnieją jeszcze piraci? Okazuje się że tak. Doświadczyl tego na sobie 63-letni obywatel szwedzki Gus Eriksen, w 1983 roku jako obywatel USA srebrny medalista olimpijski w wioślarstwie. Od kilku lat na morzu łodzi żaglowej wędrował po świecie. Ostatnio znalazł się na oceanie Indyjskim w pobliżu Adenu. Jest to rejon, po którym pływają wiele statków i łodzi zajmujących się przemyślem narkotykowym czy bronią, a niekiedy dochodzi do potyczek pomiędzy współuczestniczącymi gangami.

Eriksen korzystając z pięknej pogody polecił się na dnie walno dryfującej łodzi. Nagle poczuł większą falę, ale zanim zdążył się podnieść, do jego łodzi wkroczyło kilku zamaskowanych mężczyzn z bronią. Skonfiskowali wszystko z wyjątkiem wina — prawdopodobnie więc byli to ortodoksyjni muzułmanie. Następnie przyholowali łódź Eriksena do małej zatoczki na wyspce Socotra, leżącej samotnie wzdłuż i gdzie poszli. Eriksen został jednak oswobodzony i wypłynął na morze, nie mając ani wody ani żywności.

Na szczęście dzień przed napadem piratów Eriksen nawiazal łączność z pewnym krótkofalowcem szwedzkim. Miał się porozumiewać codziennie. Gdy przez kilka dni Eriksen nie odnawiał, krótkofalowiec zawiadomił władze szwedzkie, które poleciły statkowi „Hondo” rozpocząć poszukiwania zaginionego. Eriksena odnaleziono kompletnie wyczerpanego.

Jednak najszersze działania filozofii widoczne jest w organizowaniu szerokiego działania społecznego. Filozofia pomaga nie tylko pojąć, zorganizować jednostkowy światopogląd, ale również pomaga pojąć i zorganizować światopogląd całych grup społecznych, klas, narodów. Filozofowie siedząc za biurkiem nie tworzą światopoglądów społecznych. One tworzą się w życiu grup społecznych w miarę jak tworzy się pewna klasa, np. proletariatu. Wraz z powstawaniem klasy rodzi się świadomość, w jakiej sytuacji znajduje się ta klasa, rodzi się pewne dążenia, cele, do których ta klasa zmierza. Obok tego żywego nurtu pojawia się filozofia, jak to było z filozofią marksistowską, która ten żywy nurt odzwierciedla, racjonalizuje, pomaga uzasadnić dążenia i cele. Racjonalizując postępowanie, filozofia staje się dla klasy ideologią, to znaczy takim systemem poglądów, zasadami i wyznacznikami, które wymagają aktywności danej grupy społecznej na rzecz dążeń zrozozonych gdzie indziej, — bo nie filozofowie je stworzyli. Tak było np. w wieku XVIII, kiedy różne nurty filozofii oświeceniowej wyrażały dążenia rodzącej się i prężnej wówczas klasy burżuazji, podobnie mają się sprawy od XIX wieku z marksizmem i ruchem robotniczym.

— Związki filozofii z naukami przyrodniczymi i matematycznymi były kiedyś bardzo ścisłe. Czy wobec lawinowego rozwoju nauk nie doszło do rozzerwania tych więzów?

— Kiedyś faktycznie istniała więź personalna pomiędzy tym, co nazywamy nauką, a filozofią. Ale była ona możliwa tylko na względnie niskim poziomie rozwoju i filozofii i nauk. Gdy się mówi, że za czasów Arystotelesa istniała taka jedność, to jest to twierdzenie dezinformujące, bo w tym czasie nie było nauk zróżnicowanych przedmiotowo i metodycznie. Kiedy mówimy np. o wieku XVII to trzeba pamiętać, że filozofia miała już za sobą wiele wieków rozwoju, natomiast nauki szczegółowe poza matematyką i może astronomią — dużo mniej. Łatwo więc wiązano je z filozofią, nawet w nomenklaturze.

W naszych czasach nastąpiło personalne rozdzielanie filozofii i nauk szczegółowych. Niektórzy z filozofów zawodowych przeciwstawiają filozofię naukom szczegółowym, mówiąc, że nie ma ona z nimi nic wspólnego. Tak powie ten czy ów egzystencjalista, wedle którego filozofia nie jest wiedzą o... — o świecie, o człowieku ale raczej ekspresją wewnętrznych przeżyć i niepokojów jednostki.

Filozofia jest w pewnym sensie nauką pasożytniczą. Formuluje twierdzenia bardzo ogólne, bardzo abstrakcyjne, ale ich wartość zależy od tego, czy ktoś, kto te twierdzenia wygłasza, jest świadom tego, skąd się one wzięły, jak one z wiedzy o świecie wyrosły i jaka droga prowadzi z powrotem od tych stwierdzeń abstrakcyjnych do rzeczywistości. Otóż okazuje się, że dzisiaj żaden filozof nie jest w stanie przebyć tej drogi od elementarnej obserwacji, od laboratorium chemika, fizyka, biochemika czy biologa aż na szczyty filozoficzne. Filozof może wykonywać swoją robotę w oparciu o pewien materiał już przetworzony, doprowadzony do dość wysokiego stopnia abstrakcji.

Wpływ filozofów zawodowych na życie społeczne nie jest tak wielki, jak nauk szczegółowych. Przedstawiciele tych nauk mają do czynienia z materiałem, z którego rodzi się myśl filozoficzna i od tego, jak dalece będą oni ze swoją refleksją teoretyczną wykraczali poza rejestrację wydarzeń, zależy ich spotkanie z filozofami i spotkanie filozofów z nimi.

Nauka działa społecznie, tworzy ludzi, tworzy pewne style myślenia. Nauka teoretycznie domyśla na dysponuje konkretem i jednocześnie szerokim widzeniem rzeczy. Widzi także „cudze” pole, drugie, trzecie itd. Naukowiec o takim horyzoncie, o takiej strukturze umysłu gdy jest nauczycielem, to obdarza swojego wychowanka konkretną informacją i jednocześnie uczy go współmyśleć z przedstawicielami innych dyscyplin. Natomiast naukowiec, który myśl swoją kieruje tylko na fakty, a każdy fakt im bardziej dokładny tym bardziej oddalony od innego faktu — taki naukowiec kształtuje myślenie partykularne. Może nawet powiem prowokacyjnie: mieszczańskie. Bo mieszczański widzi to drzewo, tamto drzewo — ale lasu nie zobaczy. To, czy kultura myślowa nauki kształtujemy w obu kierunkach, teoretycznym — idącym na spotkanie myślenia filozoficznego, i tym czysto faktograficznym — to ma duży wpływ na życie społeczne.

— Może kilka słów o lubelskim środowisku filozoficznym?

— Mamy dość duży liczebnie Międzyuczelniany Instytut Filozofii i Socjologii. Jest on placówką naukową UMCS, ale terenem jego działania są także AM, AR i WSL. Mamy około 60 pracowników. Zespół ten ukształtował się w ostatnich dziesięciu latach, mamy więc bardzo wielu młodych kolegów, ale także znaczną grupę — siedmiu — profesorów i docentów, trzynastu doktorów — niektórzy tuż przed habilitacją. Rocznie publikuje się około stu pozycji, razem ze wznowieniami daje to ponad sto arkuszy autorskich. To chyba dobry wskaźnik pracowitości i zdolności naszych pracowników. Prace te ukazują się przeważnie w wydawnictwach centralnych, co chyba jest dowodem ich wysokiego poziomu. Mamy także osoby, które „funkcjonują” w skali krajowej. Prof. Andrzej Nowicki prowadził ogólnokrajowe seminarium filozofii kultury i jednocześnie jest redaktorem naczelnym kwartalnika religioznawczego „Euhemer”. Doc. Bogdan Dziemidok uczestniczy w centralnych badaniach w zakresie estetyki, doc. Zdzisław Czarniecki — w badaniach nad historią filozofii prowadzonych przez PAN. W ogóle wszyscy samodzielnie pracownicy naukowcy są włączeni w

impresje ogólnokrajowe. Cieszy nas i chyba wyróżnia fakt, że przysioroczny ogólnopolski zjazd filozoficzny, organizowany przez Komitet Filozoficzny PAN, odbędzie się właśnie w Lublinie. Z inspiracji tego Komitetu Ossolineum przygotowuje kilkunastotomową encyklopedię pt. „Filozofia a życie”, prace przygotowawcze prowadzone są także w Lublinie.

— Jest Pan Profesor nie tylko naukowcem, ale także działaczem polityczno-społecznym. W tym działaniu potrzebna jest trzeźwa ocena zjawisk ekonomicznych. U nas wszyscy obywatele uważają się za znakomitych ekonomistów. A jak Pańskim zdaniem można ocenić edukację ekonomiczną naszego społeczeństwa?

— Nie wiem, czy wszyscy Polacy czują się ekonomistami, bo ja nie bardzo. Wydaje mi się jednak, że niedokształcenie w tym zakresie jest ewidentne. Powiedziałbym, że tu nawet nie chodzi o faktycznie posiadaną wiedzę, ale o chęć jej zdobycia. Tego właśnie nam nie dostaje.

Kiedy niedawno zwiedzałem pewien wspaniały odbudowany obiekt zabytkowy, pomyślałem sobie, jakie pytanie zadał by turysta amerykański sympatycznej przewodniczce. I zadałem je: ile kosztowała odbudowa tego zamku? Odpowiedziała: nigdy mi nie przyszło do głowy, aby się tym zainteresować.



Prof. dr hab. Zdzisław Cackowski

Fot. J. Polski

## FILOZOFIA NAUKĄ PASOŻYTNICZĄ

I to jest zjawisko powszechne. Kiedy zwiedza się Polskę odbudowaną ogromnym kosztem i wysiłkiem — nie wiem czy którykolwiek kraj na świecie zdobył by się na takie koszty i wysiłki — to koszty najczęściej nas nie interesują. Sądzę więc, że wciąż nie doceniaamy bazy materialnej życia społecznego. Kiedy mówię „my” mam na myśli także poszczególne instytucje, które informują lub powinny informować. Mamy za mało sytuacji, w których mówi się: wydaliliśmy tyle na to, tamto zrobiliśmy takim kosztem. To zainteresowanie dla spraw bazowych każdy powinien stworzyć w sobie, a jednocześnie powinny to upowszechniać zarówno odpowiednie instytucje, jak i system szkoleniowo-oświatowy.

— Ostatnią informacją ekonomiczną jest częściej upowszechniana ale raczej w skali krajowej tylko, lokalnie wciąż jeszcze napotyka się na opory.

— Trzeba częściej i lepiej uświadamiać obywateli, że środki którymi dysponujemy są przecież jakoś ograniczone, że trzeba je dzielić między dzień dzisiejszy i jutrzejszy. Jednocześnie trzeba uświadamiać społeczeństwu, w jakich proporcjach ten podział się dokonuje i jakimi kryteriami się kierujemy przy ustalaniu tych proporcji. Myślę, że pełniejsza informacja może uczynić każdego z nas współodpowiedzialnym za to, że pewne oszczędności dnia dzisiejszego przekazuje się na rzecz perspektywicznego rozwoju kraju. Programy są tu zbyt wielkie, aby obywatele mogli być tylko widzami, aby bez ich aktywnego współuczestnictwa mogły być zrealizowane i to stosunkowo najmniejszym kosztem. Chciałbym nawet powiedzieć, że w dzisiejszych społeczeństwach właściwy obieg informacji (w tym także ekonomicznej) jest tak samo ważny, jak obieg energii elektrycznej czy dystrybucja chleba. Na skutek spiętrzenia się trudności i zadań rozwojowych informacje ekonomiczne mają wagę szczególną.

— Nasza historia w całości, w każdym razie w ostatnich dwóch wiekach, jest przede wszystkim historią walki o niepodległość, nie mamy natomiast zbyt wielkiego dorobku jeżeli chodzi o pojęcie demokracji. Na ostatnim Plenum KC PZPR i sekretarza Edwarda Gierka mówił, że demokracji musimy się jeszcze uczyć. Czyba to bardzo wdzięczne pole także dla filozofów?

— Wniósłbym tu pewną modyfikację. W historii walki o niepodległość zawsze były dwa nurty. Jeden walczył o niepodległość powiadając, że po-

tem zobaczy się jaka ta Polska będzie. Drugi zawsze mówił o wyzwoleniu narodowym i społecznym. Mamy więc pewne doświadczenie, chociaż nie znaczy to, że mamy receptę na demokrację. Wręcz przeciwnie. Rewolucja socjalistyczna w Polsce dokonała zasadniczej zmiany w bazie życia społecznego. Gdy dzisiaj porównujemy struktury społeczeństw kapitalistycznych i naszą, to mówimy tak: oni mają bardziej rozbudowane formy demokracji burżuazyjnej i zdecydowanie antydemokratyczną strukturę w zakresie bazy, w sferze ekonomiki. To jest oczywiste. A przecież prawdą jest, że w razie jakiegokolwiek konfliktu głos decydujący przypada nierówności ekonomicznej. My mamy w sferze bazowej stworzony porządek równościowy, demokratyczny, natomiast wciąż jeszcze rozwijamy i powinniśmy dalej rozwijać formy demokratycznego życia.

Niekiedy słyszy się zdanie, że rozwój demokracji politycznej u nas powinien polegać na przeniesieniu form parlamentaryzmu zachodniego. Ja w to nie wierzę. Przyпускаjąc, że ze względu na jakościowo odmienną bazę społeczną tworzymy i powinniśmy doskonalić odmiennie formy demokracji. Ale nie mam recepty na to, jakie być powinny. Wiem tylko, że trzeba je tworzyć z dwóch stron: od strony pojedynczych obywateli i od strony instytucji, struktur społecznych. Chodzi o to, żeby potrzeby szerokiego udziału w życiu społecznym, potrzeby rodzące się i rozwijane w jednostkach, znajdowały swoje zaspokojenie w dostatecznie elastycznych strukturach życia społecznego.

To dotyczy wielu poziomów tego życia. Gdy np. — tak jak teraz — napotykamy na kłopoty ekonomiczne, to obserwuje się, że duży zakres potrzeb części ludzi zaspokaja poza porządkiem prawnospołecznym. To jest nie tylko niewygodne, ale i bardzo niebezpieczne moralnie, bo wprowadza rozprężenie w morale obywatelskie, wprowadza rozdział między interes jednostkowy i społeczny. Tu musimy z jednej strony dyscyplinować postawy społeczne, z drugiej tak organizować struktury życia społecznego, by nie tworzyły okoliczności sprzyjających ich łamaniu. Gdy mówimy o osobowości socjalistycznego narodu polskiego, to osobowość ta powinna wyrazić się przede wszystkim w instytucjach państwowych, społecznych. Podstawą zaś tej osobowości, tego własnego bytu narodowego jest jedność społeczeństwa i struktur państwowych, jedność stworzona z obu stron.

Nie wiem jaki, ale bardzo duży procent naszego społeczeństwa to są ludzie, którzy raz stają po jednej stronie biurka, a raz po drugiej. Raz są petentami, raz reprezentantami porządku państwowego. Chodzi o to, aby człowiek był świadom, że i w jednym i w drugim przypadku jest tym samym człowiekiem. Aby pamiętał, że gdy jest po foletowej stronie biurka, to w innym układzie będzie stał przed biurkiem lub siedział tylko na krześle. Ze gdy raz jest użytkownikiem — że tak powiem — instytucji społeczno-państwowych, to za chwilę bywa dysponentem prerogatyw państwowych. Patriotyzm tworzy się właśnie w ten sposób, że kształtując postawy jednostkowe, trzeba jednocześnie tworzyć struktury społeczne, w których te postawy są utwierdzane, satysfakcjonowane. Jedno i drugie tworzą przecież ci sami ludzie, z tym że w różnej mierze. Gradacja odpowiedzialności jest tu oczywista.

— Mówiąc o patriotyzmie, odwołujemy się z reguły do uczuć, do emocji do bohaterских przykładów...

— Potrzebna nam jest świadomość, że patriotyzm się tworzy, a nie wmawia słowami. Czasem spotykałem się z takimi uwagami, że powinniśmy być bardziej związani emocjonalnie z instytucjami państwowymi, społecznymi, z symboliką życia państwowo-narodowego. Zgadzałem się z tym, ale chciałbym podkreślić, że jest to rzecz wtórna. Rzeczą bardziej podstawową jest to, abyśmy z formami życia państwowo-społecznego byli związani przede wszystkim praktycznie.

Jest przecież tak, że w niektórych państwach obywatele dość obojętnie słuchają hymnu państwowego. Ale gdy premier zwróci się do społeczeństwa, aby ze względu na trudności energetyczne zamienilo żarówkę 100 W na 60 W — to przynajmniej co drugi obywatel to zrobi. U nas bardzo często zajmuje się inną postawą. Gdy słyszymy hymn, to lekka ciśnię się do oka. Ale w drugiej sytuacji wielu ludzi wykręci setki, a wręci dwusetki. Może trochę przesadzam, ale chodzi mi o to, abyśmy nasz związek z życiem społecznym tworzyli praktycznie. Emocjonalna więź będzie skutkiem. Jest ona dobra, ale jeżeli jedyna, to ujawni się raczej w chwilach wyjątkowych. A przecież zależy nam na tym, aby tych chwil wyjątkowych nie było.

— My właśnie jakoś bardzo lubimy to chwile wyjątkowe.

— Tak. W naszej tradycji mówiono często, że najtrudniej jest za ojczyznę umrzeć. Nie — najtrudniej jest normalnie żyć dla ojczyzny. A co to znaczy? To znaczy żyć dla drugiego człowieka, współobywatela, pomagać mu, wносить swoje wartości do instytucji, z którą się jest związanym, przez tę instytucję do regionu, dla całego kraju. Więcej dawać niż brać — do tego bym sprowadził podstawową treść patriotyzmu. Braków i błędów nie można uogólniać, bo przecież dorobek naszego kraju jest ogromny i nie powstał on z niczego, ale z pracy jego obywateli.

Rozmawiał Jerzy Dostatni

**W** ROKU 1818 słynna z urody i inteligencji Helena Wełńska z Dzierżanowskich (siostra Konstantowej Czartoryskiej) rozwiódła się ze swoim mężem, byłym adiutantem ks. Poniatowskiego, generałem Rautenstrauchem. Znalazła się w bliskiej styczności z carem Aleksandrem I, z czego dnia 14 lutego 1818 roku w Warszawie przyszedł na świat syn. Ojcostwo dziecka byłej generalowej umiemy stwierdzić dowodnie na podstawie jej listów, a także dokumentów carskiej kancelarii, wśród których znajduje się dyskretne zlecenie co do alimentacji. No, no narodzony nie otrzymał jednak nazwiska matki, nawet panińskiego, otrzymał nazwisko młynarza. Ferdynand Ehrenberg i jego żona Krystyna przyjąwszy go przed światem za swego potomka na zawsze zrzekli się do niego praw. Ale też i nie w domu matki wychowywał się Gustaw Ehrenberg, lecz w domu barona Morenheima, sekretarza spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego, najpierw pod jego opieką, a po jego śmierci pod opieką wdowy, Józefiny z Mostowskich i ródny stan, Stanisława Kotłowski. Odebrał tam wykształcenie staranne. Pięsto syn Gustawa Ehrenberga, Kazimierz, późniejszy znany publicysta warszawski, od roku 1905 jeden z redaktorów „Kurierza Porannego”: *Kształcił się w pensjonacie Chopina, ojca genialnego muzyka i z okien tego pensjonatu jako trzynastoletni chłopiec patrzył na zamadki nocy listopadowej.* Oczywiście należy się małe sprostowanie: mowa jest o tzw. Liceum Warszawskim, kierowanym przez Samuela Rommela Lindego, w którym Mikolaj Chopin był jednym z nauczycieli. *Meture zdał 14 lipca 1833 roku i udał się do Krakowa, by rozpocząć studia medyczne, rychło jednak zamiar zmienił, by skierować się na literaturę i filozofię. W tej dziedzinie wykazał znaczne zdolności,*

## WZORY PATRIOTYZMU

# W PIEŚNI IMIĘ POETY

Zygmunt Mikulski

ci, cieszył się dużą sympatią profesora Michała Wiszniewskiego, autora głośnej wówczas „Historii literatury polskiej”. Jako siedemnastoletni chłopiec w „Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności” zamieścił dwie rozprawy: „Wstępne myśli o estetyce” i „Estetyka uważana jako umiejętność”. Podłoże światopoglądu Ehrenberga wywodzi się z dialektyki heglowskiej ujmującej rzeczywistość w ruchu, traktującej świat jako rezultat starcia przeciwstawnych tendencji i to właśnie nastawiło młodego adepta nauk do akcentowania czynnego charakteru wszelkiej pracy badawczej. Wykładając na zebraniach konspiracyjnych kolek wierzył: *Filozofia „dziera przesady i może być bronią przeciw przemocy władzy czyli rządu.*

Stąd też młodego Ehrenberga wczesnie pociąga działalność rewolucyjna. W Krakowie istniały ugrupowania konspiracyjne, zbliżone do lewicy powstałego później (w roku 1835) Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Do tego ugrupowania Ehrenberg został wprowadzony przez działającego w Krakowie emigranta, zdecydowanego radykała, Stanisława Malinowskiego, w roku 1833, ale do

Stowarzyszenia dopiero w połowie roku 1836. „Wiara”, czyli wiarus, żołnierz z ludu — to pseudonim Ehrenberga. Polityczną platformę organizacji formowały pojęcia zawarte w takich tekstach jak „Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego”, „Manifest Gromady Grudnia”, „Słowa wieszcze” księdza Lamennais, „Katechizm polityczny” J. N. Janowskiego, dzieło o rewolucji francuskiej C. A. H. Tocqueville'a, ale w Stowarzyszeniu prowadzono również działalność samokształceniową. Na zebraniach w mieszkaniu braci Biernackich przy ulicy Kanoniczej Ehrenberg wykladał psychologię. Pracował literacko, pisał wiersze, o których niżej. Rychło nastąpiły dwa jego aresztowania.

Pierwsze w kwietniu 1836 roku, kiedy po zabiciu szpiega rosyjskiego Behrensa wydano w granic Rzeczypospolitej Krakowskiej emigrantów, a Ehrenberg został posądzony o kontakt z organizacją spiskową. Drugie — już w Warszawie, 11 marca 1837 roku, po rewizji przeprowadzonej w jego domu, jednakże i ono wobec braku dowodów skończyło się zwolnieniem, które nastąpiło dnia 13 sierpnia. W Warszawie Ehrenberg

nie wiązał się z nadto z kierownictwem, ale oportunistycznym Zosem Lwowskim, miał za zadanie zorganizować Zbór Ziemski Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Zebrania tej organizacji odbywały się głównie w mieszkaniach Stanisława Morozowicza i Aleksandra Krajewskiego, a obydwaj znajdowały się przy ulicy Świętokrzyskiej, stąd nieco tajemnicza nazwa „Świętokrzyżców” dla warszawskiej grupy SLP. Wówczas powstały przekłady Ehrenberga z E.T.A. Hoffmana, dramat „Dwaj rzeźbiarze czyli Bartolomeo i La-sota, rzecz z czasów panowania Zygmunta I”, ale głównym zajęciem była działalność konspiracyjna. O skali znacznie szerszej niż w Krakowie. Celem nawiązania kontaktów z rewolucjonistami rosyjskimi planowano wyjazd na Wotyń, a nawet do Kijowa. Wtedy nastąpiło trzecie aresztowanie, tym razem z konsekwencjami znacznie poważniejszymi. „Świętokrzyżcy” rozeszli ułótkę, która została przechwycona przez policję. Ehrenberga ujęto w Siedlcach. Sędziwo trwało rok, zapadł wyrok śmierci, zamieniony na Syberię. Ehrenberg wywieziony 11 czerwca 1839 roku (jeszcze o tym w wierszu „Podróż na Syberję” drukowanym później w emigracyjnej „Pszonce”) roznozczał odwiecie „nosieleńca” w Tobolsku, Tomsku, Krasnojarsku, Irkucku, Nereczyńsku i Kijewskim Rudniku. Na wygnaniu zmarł jego towarzysz z konspiracji Michał Olszewski (1840) i Aleksander Wóycik (1853). Po dwudziestu latach zesłania, w roku 1858 Ehrenberg otrzymał pozwolenie powrotu do kraju. W Warszawie ożenił się z Felicią Pancerówną. Jednak i wtedy zawzięła się unarta nieprzechylność lozu: małżeństwo trwało rok, żona zmarła. Ehrenberg ożenił się z jej siostrą. Został weneratorem trójnego dwutrocznika „Sternik”. Redakcje aresztowano, Ehrenberga internowano w Brześciu Litewskim, następnie przeniesiono do majątku

# Pikutkowo - wysiadać!

Dokończenie ze str. 1

Bezładnie wokół, bo wszyscy w polu. Tylko nierogaczyna idzie poboczem drogi. Otyły egzemplarz człapie, dźwigając swoją słoninę, w pewnej chwili stopuje, niucha i rozglądając się — jak nauczony prawideł ruchu — skręca w poprzek. Gapiemy się niby w cyrku, wieprz zaś pośrodku drogi przysiadła z ciężkim kłapięciem, zwala się i wyciąga jak długi. Na chwilę sjeży.

Scena jest istic pikutkowska i spełnia oczekiwania. Jakoś tak przecież miało być! Tucznik odwraca łeb i patrzy z wyraźnym oburzeniem na nas, śmiejących się do rozpuku. Nie wstaje i trzeba go spędzić, by nie dokonał pod samochodem świńskiego życia.

Istnieje poezja nazw. Tych autentycznie polskich, starych nazw przede wszystkim, ubarwiających nam jeszcze na szczęście banalnie tak szybko świat. Cóż nie jest zchęta do zbroczenia z ruchliwych szlaków drogowych z pogodnym napisem „Szczygielkowa Wola”, intrygujący „Wzdół Rzadowy” lub tajemniczo brzmiące „Gremzdy Polskie”? Czy nie narzuca się czasem chęć zanotowania na marginesie bedekera, że spostrzeżliśmy pominięte w jego tekście „Pruski” „Pierdatki”, „Moraczewinę”, najkrótszą w Polsce nazwę „Oś” „Podziemcowinę Myszowskiego” bądź — zamienną niedawno w najlepszym sposobie na coś bardzo zwykłego — nieszablonową „Tuczną Babę”? Czy nie są skoncentrowaną poezją cztery najprostsze słowa: „Salomea, przystanek na żądanie”?

Historia zanotowała opowieść o rycerzu Pikutku. Lokietek zaprzagnął go nagrodzić za waleczność okazaną pod Płowcami rzekł mu więc zaraz po bitwie:

— Siadaj na koń i jedź w jaką stronę zaprzagniesz, a tam gdzie koń ustanie, ziemia ci dana będzie...

Nie ujechał Pikutek daleko. Jest za wsią naszą obronienie, dziś jeszcze nazywane Smętowem, mokrą pozostałość po zanikłym dawno jeziorze. Gdzieś tutaj ponoć koń uignął w bagnach, słowno więc królewskiemu musiało stać się zadość. Tak

oto w bliskości miasteczka Brześć Kujawski rycerz dostał szmat ziemi, powstała nowa wieś, a tę od jego imienia nazwano Pikutkowem.

Opowieść stoi wprawdzie w kolizji z dokumentem z dwunastego wieku, ale skłonni jesteśmy przyjąć, że w nieznanym zakamarku historii, w tym czy innym okresie, Pikutek jakowyś był.

Wystarczy kwadrans drogi, aby jak z lotu ptaka przyjrzeć się życiu tej kujawskiej wsi. Na oko porządna, jak się to zwykle mawia, wygląda zamieszanie, nawet okazale. Domy są wyłącznie murowane, a z gospodarczych budynków niejedną w innych stronach obleciał by za mieszkalny. Z rozmowy w gminie przybyło trochę cyfr no i wynika z niej jeszcze, że słynna wieś Pikutkowo przejawia w swoim rozwoju trochę, rzecz można, stabilność. Mieszkańców wraz z przysiółkami liczy aktualnie ze trzystu, a wiam, że przed stuleciem było ich mniej o... dwudziestu.

Więc prawie nie przybywa tych mieszkańców. Emigracja? Świadome macierzyństwo? No, nie wiem. Jakkolwiek tam jest z demografią, w dawnej królewskiej wsi gospodarują naprawdę wzorowo. Zbiory są wyjątkowo wysokie, hodowla dobrze rozwinięta, zwierzęta dorodne. Prowadzi się melioracje, funkcjonuje kółko rolnicze, kółko gospodny wiejskich. Miejscowi szyczą się faktem, że spory odsetek młodzieży idzie na wyższe studia. Wracają w swoje strony z dyplomem. W ogóle kultura stoi tu niezłe, a już statystykami czytelnictwa na łeb bije Pikutkowo niejedno z wielkich miast. Powinno się więc cieszyć z tego — mnóstwo razy na dzień kursuje autobus do Włocławka, a podróż trwa jak w Warszawie z Mokotowa na daleki Marymont. No i jeszcze kolejka. Też łączy wieś i miasto, a w kierunku zachodnim jej tor przecina Kujawy aż po piastowskie Gopło.

W powszechnym odczuciu Pikutkowo jest symbolem zaścianka, na kształt Kaczego Dołka, Grójca czy Pacanowa. Ale przecież ta wieś wcale nie żyje zaściankowym, zamkniętym życiem. Nazywa się tylko oryginalnie, a że ludzie tu mają rozum, nikt by nie chciał tej nazwy zmieniać. Inaczej niż pod Warszawą. Na miesiąc przed pierwszą wojną otwierano kolej do Otwocka, niedaleko stolicy była wówczas i stacja o nazwie Kaczy Dołek. Zmieniono w latach międzywojennych. I po co? Chybaż nie miał w dowódzie „urodzony w Kaczym Dołku”, niż prozaicznie „w Bydgoszczy”.

W Pikutkowie wyczuwa się zresztą bliskość miasta. Włocławek przyciąga mieszkańców sprawami pracy i nauki, popołudniami zwabia tam kino, teatr, zabawa, ale przyjemnie potem wracać w pleśner sadow i pól, bo chociaż oddech miasta najwyraźniej ogarnia wieś, prawie nie ma tu wielkomiejskich wyciewów. Dosłownie i w przenośni. Sasiedztwa więc można zadrościć, bo widzi się, słyszy, współpracuje, coś sobie nawzajem udzielając, lecz sąsiadowi do garnka nikt zaglądać nie może.

Mówi pani Prawdźina, żona kierownika tutejszej szkoły:

— Ile u nas rodzin, pan pyta? Nie pamiętam, zaraz policzę...

Zagina palce. I starczy. Nawet bez tej pomocy technicznej można wliczyć nazwiska, nie opuszczając żadnego. Domów jest ze czterdzieści, a z innych ciekawszych nieruchomości wieża tramwajowa wśród pól. Kto zechce, niech wylezie po szczyrbatych drabinach, popatrzy na czarnoziemną równinę. Fotograficzne oko od razu wychwyty fakt, że z tą jej monotonią — nierrawda.

Dziwne zrzadzenie losu wyrzuciło na kujawską płaszczyznę coś stuprocentowo górskiego, bo sąsiadnia i nie-daleka wieś Guźlin ma przysiółek Karpaty. Ba, Karpatom z Pikutkowa się móc przysłuchać... Duża rzecz!

Bodaj żadna wieś w Polsce nie była gorsza niż ta, a jeśli nazwę jej ktoś sobie przelaga między zębami, czyni to źle i bez sensu. Czytam w łaskim dzienniku, że gdzieś tam w Katowicach higiena wręcz pod psem, „jak w jakimś Pikutkowie”, piszą. A przecież brednia, aż parer stęka, bo odbył ten ubolewacz, wielkomiejszczyk sam owa higienę porównywał, ze wstydu by go skreślił za jego Katowice. Także i pod innymi względami wieś się nie przestraszy porównania, a czasem w koki róg zapędzi niejedno z wielkich miast. Chociażby taki Białystok... Nadyma się wolewódką duma, jednak lepiej zanadto nie przylgądać się jego dzieleniu. Wzmiankowany był dopiero, śmiech mówić, w 1514 roku, prawa miejskie otrzymał krótko przed rozbiorami. Owszem, przeszłość odległa, ale — historycznie przedwczoraj... Skłonne koloryzować podanie załedwie mu przyznał rok 1320, kiedy to podobno załedził je litewski Gedymin. A pies z kulawą nogą nie pojawił się jeszcze w miejscu przysiółka Białegostoku, kiedy o Pikutkowie słyszano już trochę w Polsce, ba — wiadano o nim nawet i w Rzymie, bo kiedy w 1147 roku papież Eugeniusz IV potwierdził swoją bullą nadanie dla klasztoru w Trzemesznie, musiał przeczytać w dokumencie także i nazwę Pikutkowa. Po raz pierwszy zresztą ujawniła się dwa lata wcześniej nawet, jeszcze w niekształtnej formie, „Comes Trojanus contulit Piehotheovo et Grabosovo”.

Przypomnienie tych paru słów podnosi ducha.

— 1145 rok, no, no! Osiem wieków z kawałkiem!

I wcale nie jest to cała powieść dotychczas przeszłość kujawskiego osiedla. Nawet mniej niż połowa. Droga przed wojną Istniała, wtedy pod samą powierzchnią ujawniła się grób szczyrkowy z mnóstwem interesujących przedmiotów, a nie

Morenheima na Grodzieńszczyźnie. W powietrzu znów wisiało zestanie, tym razem w głąb guberni petmskiej, cofnięte przez wstawienie- two namiestnika.

Po powrocie do Warszawy pracował w „Gazecie Polskiej”, „Gazecie Warszawskiej”, w Bibliotece Ordynacji Zamojskich. W roku 1870 wyjechał do Krakowa, gdzie m. in. powstał przekład „Zimowej powieści” Szekspira i (pierwszy polski) „Nowego życia” Dantego. Zmarł 26 września 1895 roku.

Zyciorys Ehrenberga wygląda jak pisany przez los rozmiłowany w tragicznych paradoksach. Nie inne koleje dotyczą jego dzieł. Wystarczy wspomnieć, że tak popularne wiersze jak „Szlachta w roku 1831” (właśnie ten z refrenem „O cześć wam, panowie magnaci”), jak „Bartłomiej Głowacki” (któż nie słyszał: „Hej! tam w karczmie za stołem siadł przy dżbanie Jan stary”) uchodzą za świadectwo twórczości anonimowej, jakby wyrosłej z folkloru, podczas gdy nie ma jeszcze stu lat od śmierci ich autora. Ale i okoliczności ich wejścia w świadomość odbiorczą zostały przedstawione w stosunku do normalnie spotykanych: najpierw były znane z przekazów ustnych, później pojawiły się w druku. Dlaczego?

Czas największego nasilenia twórczego w poezji Ehrenberga to pierwszy okres krakowski. Lata wczesnej młodości. Wtedy dał zasadniczy zrab swojej poezji. Wprawdzie na wygnaniu powstały jeszcze „Elegie darskie” z... nie zajmują one tej pozycji, co „Dźwięki minionych lat (1835 i 1836)”. Tylko że i one mają swoje perypetie. Przede wszystkim tytuł nie pochodzi od autora. „Dźwięki” zostały wydrukowane w roku 1848, kiedy Ehrenberg od 10 lat kopał srebro węgla. W dodatku wydrukowane anonimowo! Nie można było opublikować nazwiska skazańca. Ze względu na cenzurę należało go nawet „pogrze-

bać”. Oto co czytamy we wstępie od wydawcy: *Poki chodziliśmy między nami, kochaliśmy go i miłosć ta co dzień wzrastata; bo ileż to doznawaliśmy słodyczy i przyjemności w jego towarzystwie, a jak chcieliśmy z jaką rozkoszą słuchało się jego pienia, które i zmysł słuchu głaśnie i uczucie błogością napelnia i myśl oprowadza po nieskonczoności przestworze. Od dziesięciu lat zstąpił pod ziemię — gęś zamilkła, i czy się kiedyś ozwie, Bóg tylko wie! Widzimy więc, że wydawca starał się zakamuflować również rewolucyjny charakter opublikowanego dzieła. I jeszcze. Na karcie tytułowej jako miejsce wydania widnieje: „Paris, Imprimerie de Maistrasse et Compagnie, Place Cambrai 2”. Oczywiście też dla zmylenia tropu.*

To jednak nie wszystko. Do sprzedaży „Dźwięki minionych lat” weszły w roku 1880 w Krakowie, przeleżawszy się trzydzieści (!) lat w magazynie firmy Jana Konstantego Zupańskiego, wydawcy i księgarza w Poznaniu. I weszły bez zgody autora. Nowy paradoks? Nie wątpi, ale popatrzmy gdzie przyczyna. W roku 1880 odbywały się w Krakowie manifestacje robotnicze, o których „Czas” doniósł, że manifestanci pieśnią „Gdy naród do boju” chcieli zagłuszyć pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła”. Władomość nie odpowiadała prawdzie, ale spowodowała, że Ehrenberg odżegnał się od takiego skutku swojej poezji. Zażądał wycofania nakładu, a gdy to nie pomogło — ze względu na kalkulacje handlowe księgarza — usunięcia ze zbioru pięciu ostatnich kartek z ową pieśnią. Usunięto. Uchowało się parę egzemplarzy nieokaleczonych, które dziś należą do bibliotecznych rarytasów w skali krajowej.

Miejsce wydania — Kraków czy Poznań — do dzisiaj nie jest ustalone. Ale twórca żył w świadomości odbiorczej niezależnie od oficjalnej publikacji.

Dowiedli tego również... Prusacy. To właśnie nowy paradoks. Antoni Gąsiorowski, drukarz, wydawca i redaktor, po roku 1850 nastawiony na orientację prusofilską, w roku 1854 wydał „Wybór 20 pieśni prusko-patriotycznych dla żołnierzy i szkół narodowych”. Jako piętnasta figuruje tam pieśń „General Wrangel w Berlinie 1849”. Oto jej początek:

*Gdy Wrangel do boju wystąpił z orężem,  
Półmedrki na sejmach radzili.  
Gdy Wrangel zawołał:  
„Umrzem lub zwyciężym!”  
Ci o wolności marzyli.*

Feldmarszałek Wrangel w obronie praw króla bagnietami rozpedził kluby posełskie i zamknął salę sejmową w czasie ruchów wolnościowych w Niemczech w roku 1848. Świadczy to o nośności emocjonalnej wiersza, skoro obudziła apetyt na posłuszenie się nią w obozie przeciwnym.

Ale wiersz rozszedł się jeszcze szerzej. Wspomniany już Zupański wydał w roku 1873 dramat Leonarda Sowińskiego „Na Ukrainie”. W pierwszym akcie sztuki jest scena przedstawiająca konspiracyjne zebranie kijowskich studentów. Studenci wzniosłszy puchary śpiewają „Gdy naród do boju”. Nie znaczy, że pieśń znał tylko Sowiński i wplótł ją do akcji na zasadzie fikcji literackiej. Sam w dopisku podaje: „Z pieśni śpiewanej w kółkach uniwersyteckich pomiędzy 1848 i 1862”. Zgadza się. Wprawdzie dramat został wydany w roku 1873, ale autor — jak informuje Stanisław Pigoń — należąc do tzw. „wiecznych studentów” w latach 1847—1857 znał pieśń z własnego doświadczenia, tak więc wtęć z Ehrenberga jest najzupełniej autentyczny. Ale znów anonimowy! Oto kaprys losu, który tak wyniósł dzieło, a tak przesłonił autora.

Czy jednak w ten sposób nie spełnił się mickiewiczowski waru-

nek poezji jako „częstki własności narodu”? Przemawia za niezwykłą pełnią oddziaływania tych wierszy, że osiągnięty u czytelnika, a właściwie słuchacza, poruszenie emocjonalne, nie zostawiała miejsca na ciekawość kim jest ten ktoś, kto je napisał. Ze nie wytwarza nawet takiej potrzeby. Tak właśnie przyjmuje się pieśń, legendę, przysłowie. Z pewnością w wyobrażeniu współczesnych poezję te wytwarzało „powietrze” czasu, „duch” epoki. Ta anonimowość może być nawet powodem dumy zapożnane go autora. Bo tak przerosło go dzieło. Bo twórczość okazała się na tyle wystarczająca, że niepotrzebne się stała nazwisko.

Oczywiście, nie znaczy to, że doszła tu do głosu jakaś wyjątkowość zalet formalno-literackich. Wiersz Ehrenberga bywa chropowaty. Ale trafiał w zapotrzebowanie, mówił o tym, o czym Polak chciał słyszeć.

*Wiesz krajowi winien lutnię  
Więc dla ludu lutnia trwa,  
Nie rozpacznie, nie tak smutnie,  
Krwawy takt niech bojom gra!*

I też nie znaczy, że odrzucał wzruszenia intymne, ciche, osobiste. Ale był to czas, kiedy osobistym pragnieniem każdego Polaka była eswobodzona Polska. Przed egzekucją na stokach cytadeli 25 letni Artur Zawisza zapytał o współników odpowiedział: *Wspólnikami moimi są wszyscy Polacy, cały lud polski, za którego wolność i niepodległość odczynny mojej umrę szczęśliwy.* I „Szubienica Zawiszy” to jeden z najlepszych wierszy Ehrenberga, jeden z najwartościowszych poetyckich dokumentów walki o godność narodową, w której sam autor tyle ma zasług.

Pieśń, która żyje. Która wznosi oręż. W powstaniu 1863 roku, w leśnych bojach ostatniej wojny. Więc nie nie znaczy, że imię poety nie jest powtarzane za często. Jest w pieśni.

sposób zliczyć wszystkich innych znalezisk, dokonanych na polach w różnym czasie i miejscu. Zasiadanie przed naszą erą było w tych stronach gęstsze, niż do niedawna mniemano.

Gadamy jeszcze na drodze wysadzanej owocowymi drzewami. Z dziadkiem O dawnych sprawach. Albo jest lepszy temat do rozmowy z dziadkiem.

Ten to lubi o wojsku. Za młodu służył, a ojciec... o, i na wojnie był, na tej japońskiej wojnie, patrzcie gdzie nie zanieś człowieka. Tyli świat! „Na sopskich Mandzurii” potem grał na gramofonie, to z tamtej wojny się wzięło, pamięta pan? No, co ja mówię, gdzie by pan mógł pamiętać, najwyższy ojciec, ale i on chyba nie...

I któż by się spodziewał, że jakże mi znajomy powiew egzotyki Dalekiego Wschodu nieoczekiwanie dopadnie mnie właśnie tutaj. Na polu w Pikutkowie! Co prawda gdym się zjawiał na świecie, dobiegało ćwierć wieku od bitwy pod Cuszimą, ale mimo to wojna japońska była dla mnie czymś znanym. W tych czasach jej sprawy były jeszcze dość świeże, do tego w rodzinnym domu przyjaciele ze szkolnej ławki od klasy pierwszej znajdowała się rosyjska biblioteka. Z bukwanami nie radziłem sobie jeszcze w epoce Szkoły Mazowieckiej, lecz w książkach tych były ilustracje, na nich zaś wszystko jak żywe — Kozacy, konie, armaty, Japończycy w ataku na twierdzę. Co więcej, był narrator, lepszemu trudno znaleźć. W ciemnym domu przy ulicy Bagatela, tym samym, gdzie dziś odwiedzam

siedzibę agencji „Interpress” dożywał swoich lat doktor Hinterhoff, spokrewniony z awanturczym baronem Ungernem von Sternberg — człowiek, który w młodości zwiedził całą Rosję, a w latach walk nad Amurem i rzeką Jalu był nadwornym lekarzem dowódcy frontu dalekowschodniego, carskiego stryja, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza.

Wzdychamy obaj z dziadkiem. Cóż oni wiedzą, ci młodzi! Tylko my, kombatanek japońscy, mamy jeszcze jakieś pojęcie o wydarzeniach epoki.

Okazuje się, że dziadkowi nie są też obce sprawy o wiele bardziej dawne. Także z dziedziny militarnej.

— Ważne miejsce, panie! — Prostuje się i stukną swym kijkiem w grunt. — Król Łokietek tu był...

Domyślamy się, że przejeżdżał. Może dąb gdzie posadził, albo lipę? Oni to w ogóle lubili. Chociażby taki Sobieski; pod Wiedniem się bił, pod Chocimiem i Bóg wie gdzie jeszcze, lecz kiedy wojny nie było, to głównie sadził. Policzysz „drzewa Sobieskiego” w kraju wywnioskujemy, że obok pisanania listów do Marysieńki, na tej właśnie czynności zeszła mu większość panowania.

Dziadek prychnął lekceważąco.

— Niee... Panie mój, gdzie głowę miał sadzić! Jego wojsko tu u nas było, jak się mieli bić pod Płowcami.

Zaraz, zaraz. Gdzie się mieli bić?

— No, przecież niedaleko — odpowiada, lekko zgorzony, że nie są mi znane tak podstawowe fakty. — Płowce, o, prawie ptaka jak by my spłoszyli, to tam siedzie...

Oparty o przydrożną czereśnię zabiera luk swoim kijkiem i mierzy nim teraz wprost w zachodzące słońce. Uprytamniamy sobie jak mała jest ta odległość. I co z tego faktu wynika.

— Pan myśli że się bili nie tylko w Płowcach — zgaduję — ale i tu, w Pikutkowie?

Dziadło spoglądał znacząco. I trzeba to dużo myśleć? Pewnie przecież jest! — „No bo jakże by nie? Kiedy on, król Łokietek znaczy się, Niemcom wtedy popędził, to uuu, jak by psy u portek się im wieszaly, tak lecieli.

— Na koniach...

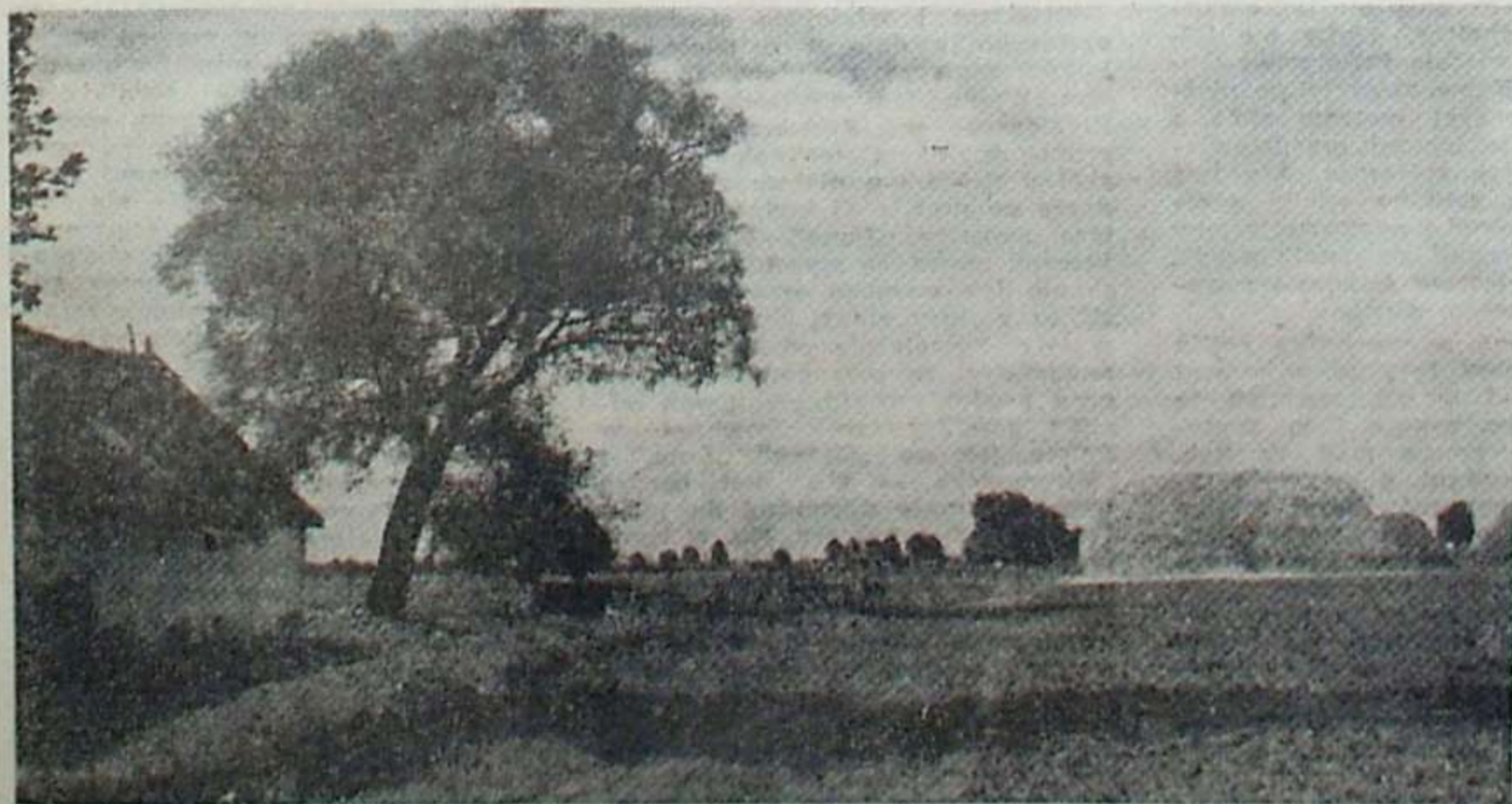
— No... Czemu by mieli nie dolecieć? Bili się, panie, bili, mieczami takimi rąbali. Niedawno jeden znalazł, o tam na polu. A kości kupy takie, że nie policzysz. Ho, ho, co się u nas nie działo, Pan Bóg jeden wie...!

Rozeznałem się później w dziejach i wyszło, że miał rację, wojskowe sprawy nieraz przewijały się przez historię wsi. Rzeczywiście Łokietek osobnym dokumentem nadał ją był na własność razem z Guźlinem miastu Bezeń Kujawski, a zarazem wyznaczył na stałe leże dla swych oddziałów zbrojnych. Miało je żywić Pikutkowie i sąsiednie wsie. Gdyby tak jeszcze poszukać...

U licha, Pikutkowie ma przeszłość naprawdę znakomitą, ale przyszłość przed nim także nie była jaka. Jestem tego jak najpewniejszy. Więcej — prorokuję mu nawet dużą modę. Co prawda jeszcze nie zaraz, ale później, kiedy świat jeszcze trochę pójdzie naprzód, pozmiennają się mody, upodobania, pozaostrząją kontrasty. Kto wie, może kiedyś, gdy dwuosobowe helikoptery będą tak popularne jak dziś motory, zobaczymy tu złoty powietrze i inne atrakcje? Jak dzisiaj Dni Kwitnących Jabłoni w Łącku czy na Mazowszu — nie mogłyby się to odbywać kujawskie dożynki w Pikutkowie? Żyjemy w czasach podróży księżycowych, malarstwa abstrakcyjnego, rakiet samonaprowadzających na cel. Przeszczepiania serc, muzyki konkretnej i nieopisanego zalewu pustych słów. W osobliwym dzisiejszym świecie, coraz szybciej pędzącym w stronę XXI wieku — ponoć nawet Ziemia ostatnio przyspieszyła swój obrót około osi — tkwi starodawne Pikutkowie. Tkwi, ale w miejscu nie stoi, przeciwnie — idzie z postępem. Tyle że jak by mniej nerwowo od reszty świata. Zapomniane jest dzisiaj, to prawda, lecz w chaosie szybko zmieniających się dążeń, coraz to nowych upodobań...

Jestem jak najpewniejszy. Stanie się modne i onol

Adam Chowański



Fot. H. Vogel-Rzasa

**P**OLA zakładów doświadczalnych puławskiego Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa nie różnią się od pegeerowskich właściwie niczym, no, może wielkością. Zresztą już w pierwszej rozmowie wicedyrektor IUNG-u, dr Tadeusz Witek, zastrzeżenie się wyraża:

— Zacierają się u nas granice między nauką, a praktyką. To, co osiągamy na naszych polach i polach doświadczalnych, może uzyskać w przybliżeniu właściwie każdy rolnik, na wielkich i małych arealach. Ale musi w tym celu stosować dokładnie takie same terminy i zabiegi agrotechniczne, i to wszystko. Posiadamy stanowiska, gdzie pszenica daje ponad 120 kwintali z hektara. Tymczasem nawet najlepsi rolnicy i gospodarstwa państwowe osiągają jedną trzecią, a tylko wyjątkowo połowę naszego plonu. Gdyby powszechnie zbierano przynajmniej właściwą połowę, Polska, z importera w ostatnich latach, stałaby się czołowym europejskim eksporterem zbóż. Instytut ma w swoim dorobku opracowanie racjonalnych zasad użytkowania i ochrony rolniczej przestrzeni produkcyjnej, mapy glebowo-rolnicze poszczególnych wsi, gmin i województw, nowe technologie produkcyjne zbóż i roślin pastewnych z zagadnieniami nawożenia włącznie. Nie są to bynajmniej osiągnięcia i metody zazdrośnie ukrywane, przeciwnie, nasi naukowcy rozpowszechniają je w swoich publikacjach i współpracują z praktykami oraz służbą rolną w różnych częściach kraju.

Ziemia we właściwej kulturze rolnej, odpowiednie zabiegi agrotechniczne i... to wszystko? Czemu więc ostatnie trzy lata nie są dość hojne dla pracujących w zbożu? Czemu wielki w końcu trud nie plonuje rolnikom na podobnych glebach aż tak dobrze, jak puławskim naukowcom? Wiele do zrobienia jest w samych ludziach, zanim pójda na swoje pola. Tradycjonalizm gospodarowania bywa często jedynie osłonką prenumeratą „Plonu” i „Agrochemii”, a w swej istocie dzisiejsza praktyka rolnicza tak bardzo nie odbiega od dawnej. Atrybutem nowoczesności są maszyny i stosowanie nawozów, ale duża jeszcze istnieje niefrasobliwość, gdy chodzi o terminy i samo stosowanie zabiegów agrotechnicznych. Stąd, mimo zainteresowania nowinkami, plony tak bardzo odbiegają od osiągniętych przez naukowców.

Zofia i Czesław Furtakowie z Woli Osyńskiej koło Żyrzyna należą do tych, którzy dawno nakłonili uszy ku nowemu. Już jako chłopak Furtak biegał do gospodarstwa doświadczalnego IUNG-u w Osinach na wieczorne i niedzielne zajęcia z młodym jeszcze wtedy naukowcem, dzisiejszym profesorem Markiem Ruszkowskim. Spośród tamtych zapaleńców z okolicy Puław w bezpośrednim kontakcie z Markiem, bo tak między sobą z przyjaciółmi nazywają swego naukowego opiekuna, wiernie pozostałe dwunastu rzeczników nowej myśli rolniczej i postępu w gospodarowaniu. Furtakowie urabiają prawie piętnaście hektarów ziemi, przede wszystkim czwartej i trzeciej klasy, a mimo to osiągają wysokie, jak na tę okolicę, plony. Nastawieni są na hodowlę bukatów. Dotąd sprzedawali corocznie po dziesięć buhajków, z których każdy ważył ponad pół tony, ale zamierzają liczbę tę podwoić. Kiedy przywozili cielęta, a te, nie przyzwyczajone do nowej obory, głośno beczwały, we wsi podśmiewano się: — O, u Furtaków już orkiestra je, muzyka na całą okolicę! Podobnie pokpiwano z działek doświadczalnych oraz z zabiegów na polach normalnych.

Zarty ustaliły, gdy zboże dobrze rodziło, a za bukaty w skupie płacono niemało. Są już naśladowcy. Kiszonki robią nie tylko Furtakowie, w żyryńskiej gminie, wzorując się na nich, posiano sto dwa dziesiąta hektarów kukurydzy na zbiór mleczno-woskowy do silosowania. Nie wszyscy osiągnęli 850 kwintali tej zielonej paszy, ale przecież zaradziła niedoborom. Dr Kukula nie musi już zachęcać, francuska kukurydza w tej okoli-

cy z pewnością się teraz przyjmie, byle było dobre ziarno na siew. Ale Czesław Furtak wie, że dla dużej hodowli trzeba wiele paszy, nie tylko tej zielonej. Usłuchał profesora Ruszkowskiego, zasiał trzy odmiany pszenicy: „Arię”, „Lunę” i „Grację” na 60 arach, każdego gatunku na dwadzieścia. Średni plon tych odmian, w przeliczeniu na hektar, wyniósł 44 kwintali i 60 kilogramów, natomiast „Grana” dała mu 51 kwintali. Zasiał więc obecnie, już nie doświadczalnie, 1,8 ha „Grany”.

Zaniepokoiłem się, czy rzeczywiście myśli ziarnem karmić swoje bukaty i trzodę? Nie, ale część będzie zmuszony z tegorocznych plonów

ny, które sprawdzają się w naszych polskich warunkach, będą szczególnie cenne dla praktyki rolniczej.

Istotnym czynnikiem plonotwórczym jest zagęszczenie roślin na jednostce powierzchni. Dzięki dużemu zagęszczeniu można uzyskać maksymalną liczbę kłosów, a tym samym stosunkowo najwyższy plon zboża. Opracowane w tym zakresie nowe metody siewu dla roślin zbożowych, przy równoległym stosowaniu współczesnej techniki nawożenia azotowego, herbicydów i retordentów (substancji chemicznych przeciwdziałających wyleganiu roślin), w efekcie pozwala na wzrost plonów w stosunku do tradycyjnej uprawy od 30 do 50 pro-

cent. Naszą metodę i to na 1000 hektarów, Jęczmień „Aramir” dał im na tym areale ponad 50 kwintali z hektara — w tegorocznych warunkach klimatycznych. Podobnie jest w naszych gospodarstwach doświadczalnych na dużych arealach; na małych działkach plony są o wiele większe. Moim zdaniem Lubelszczyzna jest jednak ze względu na glebowe i klimatyczne szczególnie predestynowana do uprawy kukurydzy i to nie tylko na zielonki do kiszenia, ale właśnie na ziarno. Wychożą tu średnio plony od 70 do 90 i więcej kwintali ziarna kukurydzy z hektara, przy wilgotności 15,5 procent.

W ubiegłym roku niektórzy rolnicy z gminy Żyrzyn osiągnęli po 90 metrów, a wspomniany Cz. Furtak, w przeliczeniu, nawet 105 kwintali. Uczyniono w swoim czasie tej roślinie krzywdę, lansując ją zbyt nachalnie. Tymczasem ona właśnie może zmniejszyć wiele kłopotów. Zboża, nawet przy tradycyjnych plonach, mogłyby u nas być w nadmiarze, gdyby rolnicy, a nawet wielkie gospodarstwa państwowe, inaczej żywił trzodę chlewną i bydło. Zmienił to może przede wszystkim kukurydza — i jako pasza zielona, i jako ziarno. Wtedy właśnie zamiast importować, moglibyśmy zboże eksportować. I do tego kiedyś dojdzie. Kwestia jest jednak nie tylko w tym, aby praktyków do tej rośliny przekonać. Przede wszystkim potrzeba więcej dobrych maszyn do siewu, pielęgnacji, sorżetu oraz suszenia ziarna. Przed dwoma laty mieliśmy pola, na których zebraliśmy po 122 kwintale ziarna kukurydzy z hektara. Jest więc nad czym się zastanawiać. A przecież i słoma, ta zielona i ta sucha, jest doskonałym komponentem pasz treściwych. Za mało też siejemy jęczmienia z myślą o paszach; a poza okolicami Włodawy, na całej Lubelszczyźnie można go uprawiać.

Podobnie o kukurydzy mówili mi potem praktycy z gospodarstw doświadczalnych, inżynierowie Stanisław Szczepaniuk w Jastkowie i Józef Gryka w Osinach, a także inż. Janina Żyła w końskowolskim WOPR. Natomiast Czesław Furtak do kukurydzy jest przekonany, ale jako do paszy zielonej. Plon mu się udał w zeszłym roku, owszem, ale jeżeli przymrozki przyjdą za wczesnie, ziarno może się zwarzyć, nie dojrzeć. Mgr Gryka powiada, że właśnie trzy ostatnie lata były bardzo korzystne dla dojrzałości ziarna do pełnej dojrzałości, ale rzeczywistość z ryzykiem trzeba się liczyć.

Zbierając materiał do tego artykułu obracałem się wśród naukowców i produkcyjnych praktyków w rolnictwie państwowym, ale i w gospodarstwach indywidualnych. Jakże teraz wielką przestrzeń widzę między ich sposobem użytkowania ziemi, a prawie całością naszego rolnictwa. Równocześnie dostrzegam, jak niewiele trzeba: aby wspomniane tu wysokie plony były powszechniejsze. Inspektorzy WOPR propagują puławskie osiągnięcia wśród służby rolnej poszczególnych rejonów i gmin, pracują z wybranymi gospodarzami, w stu dwadzieści czterech punktach Lubelszczyzny i województwa tarnobrzeckiego wdrażają nowe metody uprawy i hodowli, przeprowadzają tak zwane demonstracje, mające zachęcić służbę rolną i rolników do naśladowania, a jednak wyniki są jeszcze niewielkie. Owszem, specjalizujący się gospodarze coraz częściej zwracają się do gminnej służby rolnej o pomoc, o radę, ale zgodna opinia potwierdza, że agronomowie, zootechnicy nadal obciążeni są nadmierną ilością pracy administracyjnej, a w zagrodzie rolnika i na jego polach przebywają od święta.

Tymczasem z doświadczeń puławskiego Instytutu w całym kraju wynika, że działać trzeba w pierw w sferze psychologicznej człowieka wsi, przełamywać jego tradycjonalizm, w miejsce powierzchownego tylko unowocześniania procesów agrotechnicznych wprowadzać rzeczywisty postęp w uprawach i nawożeniu, zwalczaniu zachwaszczenia, aby była obfitość wszystkiego, co swój początek bierze poza murami miast. A więc ogrom zadań nie tylko dla fachowców rolnictwa. Przeorać na nowo trzeba nie tylko glebę.

## PRACUJĄCY W ZBOŻU

Tadeusz Jasiński



Fot. Z. Żugaj

przemieć, bo w Geesie pasza treściwa nie zawsze jest, a on nie może ryzykować. — Mogę i chcę sprzedać więcej zboża, ale muszę mieć możliwość nabycia paszy zawsze i na czas, nieprzerwanie. (Podobne wyniki ma inny z podopiecznych profesorów, Mieczysław Michalski z Józefowa koło Kurowa).

Na Lubelszczyźnie i w całym kraju w ostatnich latach plony czterech zbóż podstawowych (żyto, jęczmień, owies i pszenica) oscylują między 20 a 26 kwintalami z hektara. Gdyby więc nie tylko Furtakowie, Michalscy, gdyby nie tylko niektórzy wielkie Państwowe Gospodarstwa Rolne zbierały po pięćdziesiąt i więcej metrów zbóż z hektara, jakże inaczej przedstawiałaby się nasza spiżarnia. Ale jest tak, jak jest, stąd ów wielki wysiłek służby rolnej i naukowców, aby opóźnieni równali do najlepszych, a ci ostatni jeszcze śmiało torowali drogę wysokim plonom.

— Generalną agrotechniką roślin zbożowych nasz Instytut zajmował się już przed wojną, wznowił tę działalność po wojnie i ją kontynuuje — informuje prof. dr hab. Marek Ruszkowski, o którym z takim szacunkiem mówili mi rolnicy indywidualni oraz dyrektorzy PGR. — Teraz przede wszystkim zajmujemy się agrotechniką odmian, to znaczy, że chcemy w praktyce pokazać, w jaki sposób można by uzyskać najwyższe plony zboża określonego genotypu, a więc odmiany, którą charakteryzują określone wymagania siedliskowe, tj. klimatyczno-glebowe i agrotechniczne: dotyczące terminu siewu, ilości odmia-

cent. Na przykład: wprowadzenie nowej agrotechniki pszenicy ozimej, odmiany „Mironowska — 808”, w kombinacie PGR Kietrz, w województwie opolskim, w oparciu o zagęszczenie siewu, kontrolę chemiczną zachwaszczenia i chorób oraz racjonalne nawożenie mineralne, dało w czasie ostatnich żniw bardzo wysokie plony, bo średnio 60 kwintali z hektara. I nie o działki doświadczalne tu chodzi, ale o dwa tysiące hektarów na różnych glebach.

Właściwa i właściwie stosowana agrotechnika daje więc wiele, dla laików graniczy z cudem. Tymczasem Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Końskowoli, który propaguje naszą technologię, uzyskał u siebie i u niektórych gospodarzy po prawie 49 kwintali z hektara pszenicy „Luna”. Wyniki, o których mowa, są wysokie, ale uzyskanie ich wymaga wysokiego poziomu kultury gleby, bardzo dobrej pogody. Niezależnie od tego można powiedzieć, że potencjalnie genetyczna produktywność niektórych odmian pszenicy zrejonizowanej w Polsce, jak np. „Grana”, „Luna” i „Mironowska — 808” jest bardzo wysoka i może dochodzić do 100—120 kwintali z hektara. Np. w kombinacie PGR Udania inż. Kopliski uzyskał na dużej powierzchni 82 kwintale „Grany” z hektara.

Nie tylko pszenica może dać tak wysoki urodzaj. Pozostałe zboża także w naszej praktyce mają wyraźnie wyższe plony Swęgo czasu zwróciła się do nas Stacja Hodowli Roślin w Ulhówku na Zamojszczyźnie i zastosowała w dużej części

# NADSZTYGAR STYCZEN

Maciej Podgórski



Fot. J. Trembecki

**N**ADSZTYGAR mówi basem, dużo i chętnie, ale raczej zaokrągla, bo to jest stanowisko w dozorze wyższym, z góry widać sprawy większe i bardziej skomplikowane niż z dołu, i już wiem, że w tej rozmowie będzie ostrożny... Pierwsze raskoczenie: nie słychać akcentu śląskiego w mowie Styczenia.

Bo on pochodzi z Gór Świętokrzyskich, ojciec rolnik, matka wiejska nauczycielka. Na Śląsku zjawiał się dopiero po wojnie, jako dziewiętnastolatek, i rozpoczął na samym dole, w przenośni i dosłownie — od ładowacza, wtedy się mówiło: wozaka, w kopalni „Kleofas”. Ale równocześnie się uczył w państwowej szkole górniczej i po czterech latach edukacji był już w dozorze średnim, otrzymał tę karbidkę z blindą. A jak skończył szkołę, został kierownikiem górnictwa szybu wentylacyjnego na kopalni „Wujek”. Więc nie powinienem nawet pytać, czy chłopca można w górnika przemienić.

— W Bogdaniec na dole pracują przecież młodzi lubelscy chłopcy z okolicznych wsi. Zajmują też odpowiedzialne stanowiska na górze: sygnalistów, maszynistów wyciągowych. Zostali nimi po trzymiesięcznym przeszkoleniu w Mysłowicach. Z początku, muszę panu uchylić rąbka tajemnicy, byli z nimi kłopoty. Oni dopiero szlifowali ten, jak by powiedzieć, dryl, taki rytm, te knyfy górnicze, podejścia do różnych robót, byli powolniejsi, zdawało im się, że można zrobić nie dziś, to jutro. Czasami trzeba było nawet niegrzecznie w nich odpowiednio ruchy wyrabiać, ale to jest naszą specjalnością tak że my szybko te ruchy wyrobimy, choć na młodszego górnika można dopiero przeszerogować człowieka po trzech latach nienagannej pracy. W każdym razie my już teraz mamy dobrą załogę, dobry kolektyw. Jeżeliby jeszcze na przykład jakieś szyby ruszyły, to nie jesteśmy w stanie więcej z przedsiębiorstwa przysłać, raczej byśmy istniejącą załogę dzielili i dobierali nowych z okolicy.

Przed przyjazdem do Bogdanki nadsztygar Styczeń cztery lata pracował przy budowie kopalni „Piast”, od początku, od wycięcia lasu. Robił rozcinke poziomu 500, czyli pierwszego poziomu eksploatacyjnego.

— Wyjechałem z nocy tak jak dziś i powiedziałam mi, żeby się zgłosił do dyrekcji. Zachodzimy,

a tam dyrektor Józefczyk mówi: w porozumieniu z dyrektorem naczelnym, magistrem inżynierem Gąsiorem, wręczamy ci delegację, przeniesienie, ze jutro w dzień musisz już być w Bogdaniec. Ja, wie pan, tak prawdę się przyznam, nie chciałem nawet wiedzieć, co to jest Bogdanka, żeby się tu nie dostać. Człowiek już ma własny dom w Sosnowcu, sto czterdzieści metrów powierzchni użytkowej, garaż. Ja na przykład lubię drzewka, żeby mieć własnych parę drzewek. Wszystko tam, śliwki, czereśnie, jabłka, gruszki. Naokoło plotu, jak ta cała moja parcela ma osiemset pięćdziesiąt metrów kwadratowych tak winnie. Córka najstarsza, już mężatka, mieszka niedaleko, jest magistrem chemii. Syn służył Politechnikę Śląską, pracuje. Córka najmłodsza na czwartym roku inżynierii sanitarnej w Gliwicach. Rodzina... Własny dom, człowiek już przyzwyczaił się, psiałość. Zresztą miałem dość tego jędzenia po Polsce, bo na szybach to ja pracuję trzydzieści lat, z tego siedemnaście lat za młodu nigdy nie byłem w domu. Dlatego sobie powiedziałem, że na starość już nie chcę rozłąki, już mam dość. Zony gotowanie tylko szanuję po siedemnaście latach stołówek. Ale żona wyjątkowo wyczuwała coś, kiedy ja się śmiałem z tych, co już wiedzieli, iż jadą w Lubelskie, a ona: nie skacz, bo mogę się z tobą założyć, że ty w Lubelskie pojedziesz! Więc jak mi dyrektor Józefczyk powiedział to ja w końcu zacząłem się bronić, nie bronić, tylko widzę, że nie ma odwrotu, kiedy się uparł, nie uparł, tylko u nas w górnictwie to jak w wojsku, tam się dużo nie dyskutuje. Dostając przeniesienie: musicie jechać, kolego, i koniec, mówię trudno, dyrektor nie dyskutuje. Ale ja w końcu mówię do dyrektora swego: jak pan dyrektor sobie wyobraza ten jutrzejszy wyjazd, czy ja nie mogę być na przykład w ostatnich spodniach i ostatniej czystej koszuli, a w domu wszystko brudne, bo żona akurat zachorowała czy nie zdążyła... A tak faktycznie to żony w domu nie było, bo synowa akurat brońta pracę magisterską, więc żona tam pomagała im bawić wnuka. Dyrektor mówi: wiesz co, Styczeń, że my to jak w wojsku jedną koszulę powinniśmy mieć zawsze na gwoździu czystą, bo nie wiadomo kiedy i gdzie nas będą wolać. Tak mi tylko powiedział dyrektor Józefczyk i powołał się na dyrektora Gąsiora, a nie wiem, czy znalazłby się taki, co by w przedsiębiorstwie dyrektorowi Gąsiorowi odmówił. Więc tylko dałem warunek wtedy, nie warunek, ale mię dzy innymi prosiłem, że owszem, jeżeli już zachodzi konieczność, to bym prosił nie więcej jak pokój z kuchnią w Lubelskiem, żebyśmy byli razem z żoną. I to było jedno moje życzenie. Tak że ja do Bogdanki siedemnastego lutego przyjechałem, najwcześniejszy tu z tego dozoru, co pan już z nimi rozmawiał parę dni wcześniej jak inżynier Puchajda czy Stangret. Żona przyjechała półtora miesiąca po mnie, początkowo mieszkaliśmy w ośrodku w Piasecznie, a potem dostałem w Lublinie mieszkanie od dyrektora Bąbczyńskiego, to już jest luksus, całkowi wyposażenie, meble, telewizor, garnki, pościel. Dwa pokoje z kuchnią na dwoje ludzi, niejedni latami czekają na takie mieszkanie. Byłaby wielka krzywda powiedzieć, że nas Lubelskie ile czy niegrzecznie przyjęło.

I tak sobie, wzajem życzliwi, kulturalnie i dowcipnie gawędzimy z nadsztygarem Styczeniem, jak to on się do Bogdanki wybierał, aż przychodzi mi ochota spytać ile zamierza tutaj pobyt? Odpowiedź jest śmiertelnie serio:

— Ja panu powiem szczerze, teraz to by żal było odjechać, żeby nie zobaczyć końcowego efektu. Jeżeli szczęście dostuży, jak w każdym zawodzie, a nie wyrzucą człowieka, bo może być różnie, odpukać, tym bardziej w górnictwie, gdzie trzeba mieć troszkę nosa i szczęście, bo się można spotkać z różnymi rzeczami, więc jak szczęście dostuży, to bym chciał tu być, żeby już tę kopalnię zobaczyć chociaż, jak się ona będzie rozbudowywać. Do emerytury brakuje mi jeszcze pięć lat, teraz mam pięćdziesiąt, chyba w tym czasie na pewno zdąży-

my coś więcej wybudować niż samą Bogdankę. Zasadniczo to chciałbym zostać, aż ta kopalnia zacznie wydobywać węgiel...

Więc może pora porozmawiać o „różnych rzeczach”, o kurżawce na przykład, co się wdarła do szybu numer dwa. Ale nadsztygar się pyta, czy warto o tym mówić. Z kolei ja się pytam, czy jest się czego wstydzić?

— No wdarła się, niestety. Ja schodziłem ze swojej zmiany, na noc miał Stangret zmianę. Byłem już wykąpany, Stangret się przebierał. W łazience byłem, jak przyleciał chłop, że woda się przedziera do szybu. Najpierw obiecałem wiesz, ale teren zachowywał się spokojnie. Nie minęło może dwie minuty, jakim wiesz obiecałem naokoło, a ktoś wola: coś tu teren zaczyna ślądać! Wylatują za wiesz, patrz, pęka. Ludzie już z dołu wyjeżdżali, najważniejsza jest ewakuacja ludzi w takim czyni. A potem bierz ludzi i cegła nie cegła, piasek nie piasek, żelazo nie żelazo w szyb z góry dla wyrównania poziomu i ciśnienia, piasek, żwir, co było, mechanizacja, lutnie, żywy, umarli, z jednego szybu do drugiego. Tak że myśmy opuszcili, woda zaczęła się stabilizować, ale zamulilo od spodu i teren dalej ślądał, więc potem już inni ratowali wiesz, żeby się nie przewróciła, fundamenty cęgli...

— Ale mnie nie chodzi o fabulkę, tylko co człowiek czuje w takich momentach, czego się od nadsztygara wymaga wtedy, jakich sprawności? I Styczeń mówi:

— Szybka orientacja, choć człowiek może mieć pietra, jak to po naszymu się mówi. Nie można tylko tego pietra, widzi pan, okazywać, jak się jest z załogą. Trzeba zimną krew stosować, że niby nie nadzwyczajnego się nie dzieje, po prostu być dobrym aktorem w takim momencie, ale myśleć tylko, jak do tych spraw podejść, żeby było dobrze, i jak zmusić ludzi, żeby usunęli zagrożenie...

Styczeń dał się poznać prasie lubelskiej jako przeciwnik mówienia o rekordach produkcyjnych, które padają w Bogdaniec:

— Uważam, że nie są to żadne rekordy. To są szyby pilne dla rozpoznania terenu, żeby można projektować następne kopalnie i rozpoczynać budowę. Mamy wszystko, co chcemy: materiały, sprzęt. Ja wierzę w koncentrację sprzętu, materiałów, robocizny, w nowoczesność technologii, wysoką organizację, dyscyplinę i fachowość ludzi, wysokie zarobki, bo pieniądze też są ważne, proszę pana. A potem zwyczajnie: trzeba tę skałę wydobyć, trzeba to w pierw zrobić, trzeba zabetonować, czy jest to na Bogdaniec, na „Piast”, „Wujku” i wielu, wielu innych szybach. Niemniej każdy szyb jest inny, nie ma podobnych szybów do siebie, nie ma podobnego przekroju geologicznego, nie ma podobnego dopływu wody, choć szyb pozostaje niby zawsze szybem. I jak tu porównywać, mówić o rekordach? A niespodzianki? Niespodzianki będą zawsze. Teraz jesteśmy właśnie w warunkach marglach na szybie numer jeden. Pierwszy raz nas, niestety, oszukał schemat wiercenia, czyli przekrój geologiczny. Miało być miękkie, okazało się twarde, nie wiadomo, ile tego metrów będzie, ociosy twarde do urabiania. Nie dajemy temu za wygraną, pchamy więcej ludzi na dół do młotów pneumatycznych. Inaczej nie można, tu jest strach strzelać, choć nie powiedziano, że w szybach mroźniowych nie wolno strzelać, ale tutaj jest jeszcze jedna kurżawka, największa, i niebezpieczeństwo przejścia przez nią, bo ona ma ciśnienie do sześćdziesięciu atmosfer. Jeszcze wczoraj studiowałem przekrój geologiczny, bo teraz już trzeba szykować się na to przejście, możemy czekać z miesiącem na zamrożenie grubszego płaszczka, możemy tę kurżawkę otwierać na raty. Ale ja zaś panu powiem, że my tę kurżawkę przejeździemy, to jest do przejścia i myśmy się ubezpieczyli. U nas cholernie organizacja dokładna, wie pan. Jeszcze się nie ztarczyło, żeby załoga na coś czekała, po prostu wyprzedzamy materiałami, dokumentacją... Więc dlaczego by się miało nie przejść? No i jak by wyglądał człowiek w swojej pracy, gdyby go ściągali i dali drugich, gdzie ta ambicja zawodu! Najważniejsze to poznać zawód, samemu przejść od podstaw.

I tak oto nadsztygar Styczeń powoli odwołuje się ze swego kokonu układow i ostrożności, odstawiając sumiennosc, dyscyplinę i ambicję starego zawodowca, który na tyle rozpoznał świat, że wie, czego można się spodziewać od siebie i drugich, czego wymagać. Jest to ten rodzaj samowiedzy i satysfakcji, jaki daje rozumna praca i jest to zarazem ta ewentualność, jedna z ludzkich ewentualności, którą młodzi górnicy z okolic Bogdanki mają jeszcze przed sobą.

Fragment reportażu pt. „Oni budują kopalnię”, wyróżnionego II nagrodą w zorganizowanym w Lublinie konkursie na reportaż o LZW.

Jan Bolesław Ozióg

## NIE NADAJĘ SIĘ

Nigdy nie paliłem  
i nigdy nie piłem,  
nie chodzę do kawiarni, to mnie weale nie zajmuje.

Mam tak odrażającą powierzchowność,  
że nawet motyka polna pójsz by się wstydzila ze mną na zabawę czy do ślubu.

Do tańca jestem zresztą za powolny.

W warsztacie również od pewnego czasu

Nie wiem, do czego by się spieszyć należało.

Nie jestem pewny,

czy inni też nadają się do czegoś w akademiach i zakładach pracy.

Nie poznaję młodych, ci młodzi są starsi ode mnie.

Nie umierają tylko, bo śmierć dla nich nie ma cierpliwości.

Jak karakon pod butem rekruta w kuchni koszarowej  
pęka tylko brzuchem ten czy tamten z donżuanów elatowych,  
najczęściej w kraksie  
na asfaltowej  
autostradzie.

**C**ZYM można ocenić poziom rozwoju kultury danego środowiska? Liczebnością teatrów, kin, galerii wystawowych, sal koncertowych i imprez, będących wyrazem społecznych potrzeb, oczekiwań oraz możliwości ekonomicznych? W znacznym stopniu takie właśnie wskaźniki statystyczne mówią sporo o stanie kultury w określonym mieście. A gdyby posłużyć się nimi w kontekście spraw lubelskich, okazałoby się, jak znaczne posiadamy jeszcze braki w sferze zwanej bazą kultury. Przykładowo: w samym mieście wojewódzkim mamy tylko jedno przyzwoite kino, w 22 gminach nie prowadzi się działalności filmowej, o 422 osoby niższa jest od średniej krajowej liczba widzów kinowych (na 1000 mieszkańców). Na nowe siedziby czekają wszystkie teatry lubelskie i filharmonia, z tym że perspektywa poprawy ich sytuacji została już zakreślona, a nowy gmach Melpomeny wylania się powoli z fundamentowych wykopów. Z trudnościami lokalowymi borykają się biblioteki województwa — stan taki obserwujemy od dawna — oraz placówki upowszechniania kultury. Tych ostatnich jest na Lubelszczyźnie niemal 400, ale trzeba wiedzieć, że w 45 gminach nie uswiadczysz ośrodków kultury. W podobnej i gorszej sytuacji znajdują się trzy sąsiednie województwa: białkopodlaskie, chełmskie i zamojskie.

Więc nie byłoby powodów do zadowolenia, gdyby stan naszej kultury próbowało się mierzyć takimi wskaźnikami. Spojrzenie na problem pod innym kątem dostarcza jednak powodów do satysfakcji i prowadzi

do wniosku może i banalnego, ale warte ekspozycji: że nawet w kłopotliwych warunkach lokalowych można rozwijać szeroką atrakcyjną i wartościową działalność kulturalną, kreować fakty o znaczeniu ponadregionalnym. Właśnie w ostatnich czasach Lublin zaczął wydać o sobie zjawiska, które bez wątpienia wprowadziły miasto na ogólnopolskie fora kultury, choćby na

muzykowaniem w wykonaniu wybitnych solistów polskich. Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu ma już swoją renomę: tego lata odbył się po raz dziesiąty z kolei. Wydaje się, że właśnie muzyka obok plastyki przewodzi dziś kulturze artystycznej województwa.

Sądząc po tegorocznym ogólnopolskim plenerze malarskim w

wielu wymienionych wcześniej tendencji, ostatnio — ekslibriani, b. członek „Zamku” Włodzimierz Borowski. Mocnym echem odbiły się w kraju Lubelskie Spotkania Plastyczne na LSM.

Powodów do satysfakcji dostarcza również środowisko młode literackie, przede wszystkim kilku poetów, których skalę talentu potwierdzają — często! — nagrody i wyróżnienia w krajowych konkursach i innych imprezach literackich. Recenzje tomików poetyckich oraz prozatorskiej antologii „Na widnokręgu” ukazały się w takich m. in. pismach, jak „Polityka”, „Miesięcznik Literacki”, „Literatura”.

Przypomnijmy przy okazji, że w Chełmie nadal bardzo interesująco działa „Galeria 72” przy Muzeum Okręgowym, przedstawiająca twórczość czołowych artystów krajowych, że w Białej Podlaskiej otwarto stałą galerię wystawową oraz salon „Desy”, a w Janowie Podlaskim po raz drugi odbył się ogólnopolski plener malarski, że zamocianiem urządzają w Zwierzyńcu krajowe plenery plastyczne, a latem zaprosili na renesansowy rynek Machulskich z „Romeo i Julią”, co zostało skrzętnie i obszernie odnotowane przez prasę krajową, m. in. przez „Trybunę Ludową”.

Jest to niepełna, rzecz jasna, lista tych działań w kulturze województwa Polski wschodniej, które pozwalają stanąć nam do konfrontacji z innymi regionami — nie bez szans. Pełniejsze wykorzystanie możliwości, jakie stwarza Międzynarodowe Forum Filmowe „Człowiek — Praca — Twórczość”, może te szanse wydatnie zwiększyć.

T. G.

## NOWY ROK KULTURALNY

niektóre z nich. Rozwijając lokalną tradycję, szczególnie w dziedzinie ludowej kultury artystycznej, coraz wyraźniej wyzwalamy się z „urzędniczego” regionalizmu — źle pojmowanego, bo izolującego i ustanawiającego fałszywą skalę wartości. Co najciekawsze, dzieje się tak również w pozostałych trzech województwach.

Lubelski Festiwal Młodych Skrzypków zyskał na znaczeniu, liczy się w kraju, podobnie jak kilku młodych muzyków — absolwentów tutejszych średnich szkół muzycznych, którzy mają już na swym koncie istotne sukcesy międzynarodowe. Znakomicie przyjął się pomysł Nałęczowskiego Divertimenta — zasługa Filharmonii Lubelskiej i uzdrowiska — dzięki któremu mamy okazję kontaktować się w pałacu Małachowskich ze znakomitym

Kazimierzu, impreza ta — zainicjowana w 1971 roku — jest na dobrej drodze faktycznego rozwoju. Świadczy o tym lista nazwisk — uczestników spotkania w willi „Murka”. Funkcję okna w Polskę pełni też tzw. salon krytyków przy BWA, gdzie znani krytycy krajowi prezentują wybranych przez siebie artystów. Jak potrzebne są tego rodzaju prezentacje, niech zaświadczy powołanie ostatniego spotkania z M. Bacciarellim, Berdyszakiem i L. Szurkowskim. Budzące sprzeczne uczucia pokazy sztuki konceptualnej, „działań” etc. w staromiejskiej galerii „Labirynt” są przecież niezłym powodem dyskusji na temat charakteru, możliwości i granic dzisiejszej twórczości plastycznej czy paraplastycznej. W „Labiryncie” występują — najlepsze to określenie — znani przedsta-

Organizatorem tegorocznego pleneru — ZPAP i Wydziałowi Kultury i Sztuki UW w Lublinie, MKiS — udało się zgromadzić nad Wisłą kilku malarzy wybitnych czy interesujących, co świadczy o znów rosnącej atrakcyjności Kazimierza dla artystów. Równocześnie obserwuje się w kraju wzrost liczby przyzwoitych albo wręcz świetnych wystaw malarskich, cieszących się znacznym zainteresowaniem publiczności, czego przykładem warszawski Festiwal Sztuki. Można sądzić że świadczy to o kolejnym renesansie malarstwa jako techniki kreacji operującej swoistym językiem i wywodzącej się z długiej tradycji kultury europejskiej. Ale w tym samym czasie rzecznicy awangardy głoszą koniec sztuki, a przynajmniej kres malarstwa.

Te fakty skłoniły redakcję do urządzenia dyskusji z udziałem kilku spośród 20 uczestników pleneru w Kazimierzu. Jej tematem była sytuacja malarstwa w sztuce dzisiejszej. Redakcję reprezentował Ireneusz J. Kamiński, który przebieg spotkania zrelacjonował.

**I. J. Kamiński:** — Witam Panów na dyskusji w kazimierskiej willi „Murka”, należącej niegdyś do rodziny artystycznej i mieszczącej po wojnie instytut teatralny Byrskich, i zaraz przechodząc do rzeczy, która zresztą dwuznaczna. Awangarda — pozostaliśmy dla wygody przy tym niejasnym dziś określeniu (sformułowanym niegdyś przez St. Simona) — ogłasza bezsens uprawiania malarstwa. Obrazy, które jeszcze powstają, są puste i niepotrzebnie zagracają środowisko urbanistyczne...

**Ryszard Lis:** — Według mnie, powodem twórczości jest pragnienie wypowiedzenia pewnych treści, które leżą człowiekowi na sercu. Wybór języka jest przy tym sprawą indywidualną. Ja wybrałem malarstwo, albowiem do tego właśnie języka miałem predyspozycje. Ktoś inny wyraża swoje sprawy przy pomocy muzyki, tańca, słowa...

**Jacek Sienicki:** — Tak, gdybym umiał pisać, prawdopodobnie nie malowałbym. Zresztą najbliższa malarstwu jest moim zdaniem poezja. Czym jest dla mnie malarstwo? Sposobem wyrażania swoich spraw. W trakcie pracy nad obrazem nie zastanawiam się, czy robię awangardowo, współcześnie, czy jestem konwencjonalny, czy też nie. Robię jak potrafię — przy pomocy pędzla, farby, przy pomocy formy i koloru. Wybór tworzywa to sprawa charakteru.

**Janusz Przybylski:** — Awangarda twierdzi, że malarze posługują się warsztatem tradycyjnym, ale ja zupełnie nie pojmuję, dlaczego to bardziej współczesne ma być konceptualne słowo pisane, aniżeli słowo malowane!

**J. Sienicki:** — Intensywność wyrazu stanowi o jakości sztuki. Utrillo wyszedł od sentymentalnego pejzażu podmiejskiego Paryża i stworzył wielką sztukę, absolutnie nie ustępującą twórczość takich mu współczesnych artystów awangardy, jak Braque, Leger, Picasso, „Światło jak u Utrilla” — stwierdza człowiek wychodzący z metra na peryferiach. Jak to powiedział Dostojewski? Że prawdziwa sztuka jest zawsze współczesna...

**I. J. Kamiński:** — A zatem sztuka jako próba wyrażenia własnej osobowości, indywidualności...

**J. Sienicki:** — ... swoich kompleksów, słabości, wszystkiego, co określa człowieka.

**I. J. Kamiński:** — Ale sens takiej postawy jest kwestionowany przez awangardę dni naszych. Zresztą już w latach sześćdziesiątych Amerykanie czy Włosi prezentowali twórczość anonimową i technologiczną, a multiple — maszynowo produkowane, standardowe przedmioty — były szlagierem sezonu w zachodniej Europie. W minimalart także trudno szukać śladu „kompleksów i słabości” autorów.

**J. Przybylski:** — Hiperealizm również odrzuca interpretację rzeczywistości, czyli indywidualne widzenie, na rzecz „przenoszenia” rze-

## IV OGÓLNOPOLSKI PLENER MALARSTWA

czywistości na płótno. Podważając dotychczasowy status dzieła sztuki, czym próbuje się go zastąpić, no czym?!

**I. J. Kamiński:** — Wszyscy wiemy, czym. W wielu przypadkach — destrukcyjnym działaniem obliczonym np. na likwidację odrębności sztuki wobec życia. Niechęć do tradycji artystycznej jest bardzo wyraźna w środowiskach awangardowych, nie tak dawno temu pewien showman artystyczny, nota bene historyk sztuki z wykształcenia, poinformował mnie, że to, czy Lublin ma zabytki architektury, czy ich mógłby nie mieć, jest dla niego całkowicie obojętne. Bo zabytki nie są potrzebne mu do życia, do dobrego samopoczucia. Głupota czy skłonności samobójcze?!

**Andrzej Tryzno:** — „Panie, a kto się tą sztuką awangardową interesuje? Kilku facetów w Paryżu!” — wyjaśnił sprawę pewien ksiądz chadzący po koledze. Na pewno, problem jest bardziej złożony, ale...

**I. J. Kamiński:** — Mówi się, nie bez słuszności, że pewne zjawiska k z obszaru awangardy są autentycznym przejawem dramatu, który przeżywa nasza cywilizacja, że są przejawem kryzysu wartości i wiarą duchowej rezygnacji człowieka...

**J. Sienicki:** — Nigdy nie lekceważyłem tego, co robi awangarda, przeciwnie, bacznie obserwowałem jej poczynania, które zmuszają do refleksji nad własnym warsztatem, na przykład.

**J. Przybylski:** — Oczywiście, lekceważyć jej nie można... Ale: awangarda atakuje malarstwo za to, że jest rzekomo środkiem niezdolnym już do wyrażania ważnych i skomplikowanych problemów naszego czasu, że malarze egzystują niejako poza. A przecież to kłamstwo. Wystarczy obejrzeć kilka poważniejszych wystaw, aby przekonać się, jak wyraziście świat realny odbija się w obrazach. Otoczenie wpływa na mnie, na moje myślenie, ale pod jednym względem jestem absolutnie niewrażliwy na sugestie zewnętrzne: aby rzucić malarst-

wo i od jutra czy za godzinę zostać konceptualistą. Być malarzem to znaczy urodzić się malarzem.

**A. Tryzno:** — Tak, my musimy to robić, co robimy. Zaś zainstalowanie potrzeby malowania w naszych osobowościach rodzi poczucie profesjonalnej odpowiedzialności, czego brakuje wielu zwolennikom np. konceptualizmu.

**I. J. Kamiński:** — Nasuwa mi się tutaj dość dziwne w swych konsekwencjach spostrzeżenie. Otóż spora grupa czołowych hepnerów, konceptualistów, „działaczy” czy „aktywistów” to ludzie, którzy nigdy nie potrafili malować, nigdy nie opanowali rzemiosła malarskiego. Kiedy w młodości zmuszeni byli zarobkować różnymi pracami użytkowymi, niechętnie brano ich do zespołów, albo powierzano takie czynności, jak mieszanie farb. Inni z owej grupy ukończyli politechnikę lub technika (energetyczne, mechaniczne)...

**R. Lis:** — Uprawiając malarstwo spróbowałem kiedyś „zadziałać postartystycznie”. W tym ruchu jest coś bardzo frapującego, to gorące reagowanie na wiele żywych spraw codziennosci społecznej, publicznej... Ale ta teatralność, która nieuchronnie wkrada się w strukturę takich działań! Ten właśnie moment, przerażający, odrzucił mnie od ruchu, albowiem zdecydowanie przeszkadzał w dotarciu do istoty podjętego problemu.

**J. Sienicki:** — Ja absolutnie nie jestem przeciwnikiem „spektakli”,

MALA

OBRONA

„działań” to nak, że mają sprawcy wie zebrany us im tylko o zabawy? Pro la faktycznie

**I. J. Kamiński:** — Wasz stosunek pejzażu Kazimierskiego, gólna?

**A. Tryzno:** — ale jeżdżąc ta szaja. A potem kretnego z lo domek sobie lem, który w laty.

**J. Przybylski:** — jak zaproszą „bisz” kawalek

**A. Tryzno:** — tuje po prostych pracach

**J. Przybylski:** — pejzaż jest ty akcji z udział mierz czy Ga znaczenia. Od sze jest spoki kam z powod jeżdżając tutaj ner nie posiad nego hasta id tego za bład chałem nad W — z własnym

**R. Lis:** — I zacyjnego pie



# "TOMASOVIA" - KROKI DO PRZODU

Wojciech Kurhan

Toma-  
su. Pi-  
wiele  
-byto-  
w za-  
lowala  
na po-  
zalo-  
ogac  
onki.

Obliczony początkowo na roczną produkcję wartości 30 milionów złotych (według cen zbytu), ma dać w roku bieżącym wyroby wartości 280 milionów złotych — dziewięciokrotny wzrost, nawet uwzględniając elastyczność cen na owoce i warzywa, trzeba ocenić bardzo wysoko. Osiąga się to metodą kolejnych, heroicznych już niemal modernizacji.

niezego  
ygotow-  
mro-  
wy. Py-  
kraj-  
chodzą  
amien-  
wałami  
dz.  
kazują  
i mo-  
kowa-  
prze-  
raju i  
ie po-  
przy-  
skła-  
idzie  
ca dy-  
powia-  
przy-  
zi za-  
kilka  
zakła-  
onych

I tak na przykład ładna, nowa hala rozlewni wina, uruchomiona w styczniu br. powstała z ogromnej, starej wiaty. Rozlewnia może się już podobać ze swymi pasteryzatorami, myjnią butelek, prześwietlarkami... I pracować tutaj przyjemnie. Lecz jeśli mowa o produkcji wina — „Tomasovii” czeka jeszcze generalna rozbudowa tzw. pojemności. Gdy nie istnieją możliwości, aby wszystkie świeży moszcz trafiał bezpośrednio do nastawów winiarskich, wówczas musi on być konserwowany dwutlenkiem siarki i przechowywany dłużej, w efekcie wina zalega tuje siarką. Od pojemności zbiorników zależy też, czy pozwoli się moszczom fermentować w sposób naturalny do wymaganych 14—15 procent zawartości alkoholu, a następnie leżakować winom przez okres 2—3 lat, czy też po osiągnięciu 7 procent alkoholu resztę „dorobi” spirytusem, wina przeleżakują około trzech miesięcy i pójdą na rynek.

latach  
więk-  
części  
ze po-  
by-  
62 ro-  
bez  
raczej.

W tym drugim przypadku będziemy skłonni narzekać na jakość krajowych win owocowych. Na razie możliwości składowania winiarni w „Tomasovii” sięgają około 1,7 miliona litrów, a produkcja roczna — około 3 milionów litrów. I w tym cały problem. Produkcja wina „przyspieszonego” jest,



Fot. I. Komosa

prawdę mówiąc, bardzo dla zakładu opłacalna, stawia na nogi wartościowe wykonanie planu. W tej sytuacji obawiam się, że każde ograniczone zwiększenie pojemności, zakup nowych tanków, o czym słyszałem w zakładzie, pójdzie bardziej na zwiększenie ilościowe niż jakościowe produkcji. Bądź co bądź jednak próbują już wytwarzać wina z koncentratów jabłkowych, których przynajmniej nie trzeba siarkować. Stosują w części bezpośrednio nastawy z moszczów. I to byłoby te małe kroczki do przodu.

Generalna wszak modernizacja pojemności zakładowej winiarni czeka jeszcze swojej kolejki. Tak samo modernizacja układu narowego i energetycznego, ale przede wszystkim maszyn i urządzeń używanych bezpośrednio do produkcji. Od 1975 roku dotacje na ten ostatni cel jakby ruszyły z miejsca — przyznaje dyrektor Malec. Lecz nie ma nic darmo i trzeba przyznać, iż „Tomasovia”, pracująca przecież w nie najłatwiejszych warunkach, czasami obchodząca się przysłowiową nieśmiertelną prowizorką (widziałem na tere-

nie zakładu kocioł starej lokomotywy, który zamierzają przysposobić dla nadrobienia niedostatków pary). A więc że „Tomasovia” dobrze sobie zasługuje na dotacje, a ponadto, nie oglądając się na dobrych wujków, sama podnosi swoje wskaźniki ekonomiczne. Dopiero w taki zakład warto inwestować.

Zmora zakładów przetwórstwa owocowo-warzywnego była zawsze sezonowość, a więc nierytmiczność produkcji, konieczność znacznego zwiększenia zatrudnienia w okresie sezonu, co odbijało się negatywnie również na wskaźnikach wydajności pracy. Jeszcze w ubiegłym roku „Tomasovia”, zatrudniająca poza sezonem około 600 osób, musiała w okresie kampanii podwoić stan zatrudnienia! W tym roku jestem w zakładzie podczas pełni sezonu i on zatrudniający jedynie około 600 osób. A przecież plan nie jest mniejszy niż zeszłoroczny, wzrosła zatem wydajność prac. Jak to osiągnęli?

Otóż poza poważną modernizacją i mechanizacją procesu rozlewu wina ustanowiono zasadę, iż niektóre owoce przyjmuje się do zakładu od producenta już w pewnym stopniu przerobione. Za takie owoce musi wprowadzić fabryka płacenie rolnikowi drożej, żeby mu się to opłacało, lecz opłaca się to również samej fabryce. I tak na przykład ogórki na sałatki i mizerie przyjmuje się już obrane ze skórki; czarna porzeczka na kompoty — oszypulkowana; truskawki — oszypulkowane; kalafior pokrojony w tzw. różyczki. Są to wszystko pomysły godne uwagi i na dłuższą metę warne kontynuacji. Trzeba tylko kontrolo-

Dokończenie na str. 19

## RSKI W KAZIMIERZU DOLNYM

### STWO

### LI WARTOŚCI

runkiem jed-  
adres, a ich  
dnie, co chcą  
Jeśli chodzi  
wanie dobrej  
o, byleby by-

A jaki jest  
tury? Czy w  
ostrzegacie coś  
wartości szcze-  
d powiedzieć,  
nie zapra-  
niam coś kon-  
cenerii. Tutaj  
już upatry-  
trestza przed

To znaczy, że  
tymu, to „zro-  
ny?”  
wiliście. Ja cy-  
może jest w  
ra...

la mnie każdy  
ografia jakiejś  
łowiska. Kazi-  
to nie ma  
fary ważnej-  
go, kogo szu-  
larskich. Przy-  
biatem, że ple-  
namu, konkret-  
nie uznałem  
uczynny, bo je-  
jak wszędzie  
mem.  
mitetu organi-  
pełnilem w po-

skiej pracowni — coś w obrazach przerobię, kazimierska dynamika kolorów, chociażby, w nich pozostaje.

I. J. Kamiński: — Ktoś nazwał Pana kolorystą.

J. Sienicki: Nie uważam się za kolorystę. Podejmując celowo tematy zwyczajne a nawet banalne, próbuję w swoich obrazach mówić o rzeczach pozamalarskich, przede wszystkim o osobistym dramacie człowieka; interesuje mnie dramat ukryty, sygnalizowany „przez zacisnięte usta”. Nie było i nie jest to celem kolorystów. Ale kiedy otrzymałem nagrodę imienia Norwida, pojawił się w prasie artykuł pewnego krytyka kwestionujący trafność decyzji jury. Ta pani zgodziłaby się nawet na obdarowanie mnie Nagrodą Państwową — jakoś tam uznaje mnie jako malarza — ale „Norwida” nie, bo jej zdaniem nic nowego nie pokazałem, doskonałą jedynie wartości pikturalne w swoich płótnach.



Janusz Kaczmarek: „Ubrania 1/74”, olej, 1974 (z indywidualnej wystawy artysty w Galerii Sztuki w Sofii, czynnej we wrześniu i październiku br.)

I. J. Kamiński: — „Nie nowego”, czyli nie strzelił Pan pomysłem. Awangarda zdecydowanie przynosi pomysł, projekt nad realizację.

J. Przybylski: — Różnica między facetem, który ma genialne po-

mysły, a mną polega na tym, że on ich nigdy nie zrealizuje, podczas gdy ja swoje idee i wyobrażenia potrafię zmaterializować. Bo mam warsztat malarski.

R. Lis: — Mam jednak wątpliwości, czy warsztat malarski jest tak doskonały, że umożliwi mi pełny przekaz treści, które pragnęlbym wypowiedzieć...

A. Tryzno: — To byłby koniec twórczości, gdyby całkowicie wiernie udało się zrealizować pomysł!

J. Przybylski: — To, co najważniejsze, mieści się w formie. Najbardziej wzniosłe treści nie poparte w sztuce formą są puste. Facet, który maluje jelenia na leśnej polanie — czy wiecie jak on to mocno przeżywa?! Niestety, intensywności jego doznań emocjonalnych nie odpowiada forma — banalna i kiczowata.

J. Sienicki: — Przypomnę zdanie Flauberta, że z formy rodzi się myśl, a nie odwrotnie.

R. Lis: — Jestem innego zdania. To treść mego przeżycia wywołuje formę.

I. J. Kamiński: — W różny sposób reagujecie na świat, odmienne zjawiska was inspirują, nieco inaczej rozumiecie pewne pojęcia, ale jesteście, jak sądzę, zgodni, że sztuka jest czymś szalenie ważnym i zachowującym odrębność wobec rzeczywistości, którą albo wyraża, albo komentuje, albo wzbogaca, lub po prostu ozdabia — posługując się specyficznym językiem. Awangarda obwieszcza koniec takiej sztuki, a czyni to najczęściej przy pomocy instytucji kulturalnych, czyli takich które winny kontynuować i rozwijać wartości ukształtowane przez tradycję humanistyczną!

J. Przybylski: — Awangarda jest przy tym agresywna i nietolerancyjna.

A. Tryzno: — Ale kto ją słucha, kto?!

J. Przybylski: — Identyfikacja pytania wówczas, kiedy pojawiły się pierwsze sygnały wielkich dramatów ludzkości i jaki był tego efekt? Wydaje mi się, że bardziej zdecydowanie powinniśmy walczyć z poglądami lansowanymi przez awangardę: o końcu sztuki, o jej bezpotrzebności.

R. Lis: — Najlepszą obroną sztuki, jaką my możemy rozwinąć, jest malarstwo. Więc malujmy.

J. Sienicki: — Nie pierwszy raz głosi się hasła pałenia muzeów. Takie manifesty pojawiają się co pewien czas i są dziełem ludzi młodych. Chcą wszystko zrównać i na zwalowanym usypisku nowość do życia coś nowego. Błądzą, bo nie wiedzą, że sztuka jest kontynuacją, tak właśnie — twórczą, pełną innowacji kontynuacją jednak.

J. Przybylski: — Właśnie, w tych ruchach biorą udział ludzie młodzi, bez doświadczenia wewnętrznego i społecznego, bez przemyśleń. Nie mają z sobą, niczego jeszcze nie zdążyli zrobić, a tu pojawia się szansa, że jedną wolną staną się widoczną. A nie wiedzą, że są zwyczajnym stadem kilku starych wygi! Bo przecież konceptualiści i „działacze” opierają się w Polsce na aktywności kilku zaledwie reoów, którzy zwabiają do siebie młodych, umiejętnie grając na ich „pokoleńniczej odmienności” i ambicjach szubkiego wybiła się!

J. Sienicki: — Nie czuję się przez nich zagrożony. I o sztukę też się nie martwię — w dobrym zdrowiu przetrzyma ataki.

R. Lis: — No a krytyka nasza Kochana?! Czy nie miała wielkiego udziału w ufundowaniu kryterium nowości jako głównego narzędzia oceny artystycznej?!

A. Tryzno: — Teraz krytycy uznają się za artystów i... tworzą!

J. Przybylski: — Ale w tworzywie im właściwym, czyli przy pomocy słów, sądów dyskursywnych, zapisów. Obecnie w Polsce najbardziej awangardowi są krytycy.

R. Lis: — Podobnie postępowali kilkanaście lat temu, tylko po kryjomu. Pisali scenariusze dla powoływanych przez siebie grup plastycznych, sterowali malarstwem indywidualistów, wmawiali ludziom pomysły, przez długi czas rzadzili niektórymi plenerami — ciągle ci sami.

I. J. Kamiński: — Krytyka... Za główną wadę polskiej krytyki artystycznej uważam jej ideowy indyferentyzm.

Tymczasem dziękuję Panom za udział w dyskusji.

# LUBELSKI PIONIER



II kurs dla pielęgnarek Woj. Urzędu Zdrowia w Lublinie. Sierpień 1945. W pierwszym rzędzie w środku dr Władysław Kwit

## WALKI Z GRUŻLICĄ

Halina Chabros

**M**UZEUM Ftyzjatrii Polskiej w Warszawie, zorganizowane przez prof. dr. Zbigniewa Garnuszczyńskiego, znanego polskiego specjalistę chorób płucnych, zawiera bardzo bogate zbiory, dotyczące wybitnych polskich lekarzy — od Jana Radlicy, żyjącego w XVI stuleciu i uważanego powszechnie za ojca polskiej ftyzjatrii, do niedawno zmarłego prof. L. Manteuffla.

Wśród portretów słynnych lekarzy, którymi obwieszono ściany Muzeum, znajduje się portret niezwykłego już dziś znanego społecznika lubelskiego współorganizatora lubelskiej służby zdrowia — dr. Władysława Kwita. Prof. Z. Garnuszczyński w swojej pracy „Sylwetki ftyzjatrów XXX-lecia PRL” tak pisał o nim: *Dla Lublina i woj. lubelskiego położył duże zasługi w walce z gruźlicą. Był nie tylko doskonałym znawcą gruźlicy, ale również społecznikiem, wychowawcą młodzieży lekarskiej i doświadczonym organizatorem.*

Cofnijmy się zatem w niedawną przeszłość. Jest koniec lipca 1944 roku. Dr Władysław Kwit, absolwent Uniwersytetu Stefana Batorego w

Wilnie, specjalista w organizacji ochrony zdrowia i ftyzjatra, przybywa do Lublina. W okresie okupacji siedział w więzieniu w Izbicy, potem na Zamku lubelskim za pomoc udzielaną partyzantom. 29 lipca 1944 r. dr Kwit rozpoczyna pracę jako wojewódzki inspektor w Wydziale Zdrowia w Lublinie, którego naczelnikiem był znany bakteriolog dr Cyprian Chromiński. We wrześniu dr Chromiński odchodzi z Wydziału — jako bakteriolog ma zorganizować Państwowy Zakład Higieny, a naczelnikiem Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia zostaje dr Kwit.

Do Lublina ściągają setki, tysiące ludzi schorowanych, wynędzniałych. Szpitale są przepełnione ranymi i chorymi, a brak nie tylko leków i opatrunków, ale i łóżek. Wreszcie radośnie wydarzenie — w październiku 1944 nadesłano pierwszy wielki transport leków oraz materiałów opatrunkowych z Moskwy. Aż pięć samolotów transportowało ten cenny ładunek. Wkrótce potem nowe ważne wydarzenie — Szwedzi w ramach pomocy UNRRA przywieźli kilkaset łóżek i wiele bielizny pościelo-

wej. Samochody stoją przed szpitalem, a lekarze rozchwytną łóżka, przede wszystkim dla żołnierzy. Dr Kwit znosi łóżka razem z szoferem. Pomaga im oficer szwedzki.

Zona dr Kwita, Helena (odznaczona ostatnio Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polskiej), specjalista w zakresie pediatrii, od pierwszych dni bezinteresownie pomaga mężowi. Współorganizuje i prowadzi oddział noworodków w szpitalu przy ul. Staszica, a potem klinikę pediatryczną UMCS. Jest inspektorem ds. organizacji opieki nad matką i dzieckiem, zakłada pierwsze izby porodowe w Kazimierzu, Naleczowie i innych miejscowościach, kuchnie mieczne w Siedlecach i Lublinie, a także oddziały noworodków w całym województwie.

Dr Władysław Kwit niezmordowanie jeździ w teren, szuka budynków na przychodnię i oddziały przeciwgruźlicze, walczy o każdy aparat rentgenowski. Stary, wysłużony wiliys z samochodu nie raz ostrzeliwany jest przez bandy. Dr Kwit nigdy nie traci zimnej krwi, mówi do kierowcy: jedź szybko, póki nie trafił w opony. Ta penetracja pozwalała objąć opieką lekarską przynajmniej ciężko chorych.

A potrzeb jest tak wiele, że możliwości takte ograniczone... Lubelszczyzna należała przed wojną do regionów szczególnie zagrążonych i zaniedbanych. Wojna i okupacja jeszcze bardziej pogłębiły ten problem. W pierwszych latach po wyzwoleniu było w naszym regionie ponad 50 tys. chorych na gruźlicę, a śmiertelność sięgała rocznie 13 osób na 10 tys. mieszkańców. Spuszczano płacówki do wód z tą chorobą, jaką odziedziczyliśmy po Polsce przedwojennej, była wprost katastrofalna: 24 łóżka w drewnianym baraku szpitala przy ul. Biernackiego oraz trzy poradnie: w Lublinie, Zamościu i Czełmie. Leczeniem zajmowało się kilku lekarzy, ludzi dobrej woli, ofiarnych i zapalonych, z których jednak część miała jedynie przygotowanie tzw. lekarzy ogólnych.

Niejednokrotnie własny przydziałowy kilogram drożdży, który początkowo stanowił zapłatę za pracę, dr Kwit poświęcał na opłacenie jakiejś podroży, gdy trzeba było ściągnąć kogoś do pracy w Lublinie. Dom pp. Kwitów był zawsze otwarty — stanowił miejsce, gdzie załatwiano się wiele spraw, tak pożytecznych dla województwa.

Późną jesienią 1944 roku dr Kwit zabezpieczył dawny majątek Sachsów w Abramowicach. Na wniosek wiceministra zdrowia dr. J. Morzyckiego i dr. C. Chromińskiego zapadło postanowienie utworzenia szpitala psychiatrycznego. Znowu więc dziesiątki wyjazdów do Warszawy i innych miast, aby coś załatwić, zdobyć i przywieźć.

Dr Kwit bierze w tym czasie udział również w organizacji powstającego Wydziału Lekarskiego przy UMCS, ściśle współpracuje z rektorem prof. dr Henrykiem Raabe. Reaktor proponuje, by ze stu łóżek w Abramowicach wydzielić 40 dla kliniki psychiatrycznej. 6 lutego 1945 zostaje zawarty odpowiedni układ i niemal w tym samym dniu roz-

## „TOMASOVIA” - KROKI DO PRZODU

Dokończenie ze str. 9

wać, w jakich warunkach higienicznych rolnicy przygotowują owoce i warzywa na dos. wy. Tak przygotowane owoce i warzywa odcinają zakład od wielu pracochłonnych procesów produkcyjnych, konieczności dodatkowego zatrudnienia w okresie kampanii, usprawniają przetwórstwo, i o to właśnie idzie.

Zauważyłem, iż w „Tomasovii” kompoty etykietuje się ręcznie. Pytam, dlaczego? Ponieważ wysokiej klasy mechaniczne etykietażki trzeba sprowadzać ze strefy dewizowej, podobnie zresztą jak i wiele innych urządzeń dla przetwórstwa owocowo-warzywnego. Więc są kłopoty. Ale dowiaduję się też, iż zakład otrzymał ostatnio z Ministerstwa Handlu Zagranicznego 10-milionową dotację na zakup maszyn i urządzeń w zamian za zwiększoną produkcję eksportową. Zatem pomówy o eksporcie. Tutaj też nie ma nic darmo.

Określenie przydatności i klasy eksportowej wyrobów owocowych jest to pewien rytuał, który akurat miałem okazję częściowo podpatrzeć w „Tomasovii”. Przybywa standaryzator z MHZ, pobiera pewną próbną partię gotowych wyrobów i w laboratorium zakładowym odbywa się misterium na przykład pod tytułem „Kompot z czerwonej porzeczki”. Zeby w słoju nie znalazła się najdrobniejsza nawet cząstka liścia lub szypułki. Zeby owoce były jednolitej odmiany, czyste, jędrne, bez plam cho-

robowych. Miały określoną wagę razem z zalewą, i odsączone. Zalewa pod samym wierzchem słoja. Posiadająca ustaloną zawartość cukru, albowiem kompot nie może być za bardzo słodki lub niedosłodzony. Dopiero kiedy to wszystko się sprawdzi, ruszy machina handlu zagranicznego i zmordowane tegoroczną suszą narody Europy będą mogły skosztować kompotu z czerwonej porzeczki, wyprodukowanego w Tomaszowie Lubelskim przy ulicy 1 Maja 126.

Do niedawna bezpośrednim partnerem eksportowym takich stosunkowo niewielkich zakładów jak „Tomasovia” była potężna firma połączonych Central Handlu Zagranicznego „Hortex-Polcoop”, która oferowała produkty kontrahentom zagranicznym. Stwarzało to określone trudności wewnętrzne. „Hortex-Polcoop”, ta firma połączona, najchętniej operowała wielkimi ilościami, zakłady pionu WZGS takimi ilościami na raz nie dysponowały. W tym roku w zmienionej strukturze, bardziej scentralizowanej, której przewodzą Centralny Związek Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska” w Warszawie, bezpośrednim partnerem eksportowym zakładów w rodzaju „Tomasovii” stał się stołeczny Zakład Eksportowo-Importowy, posiadający swoje inspektoraty w miastach wojewódzkich (wg starego podziału administracyjnego).

Zdzisława Jarosza, kierownika Inspektoratu ZEI w Lublinie, pytam, na czym polega usprawnienie eksportu w nowej strukturze?

— Krótko mówiąc: Instruktaż producentów, standaryzacja, przygotowanie do eksportu stosunkowo niewielkich mas towarowych jakimi dysponu-

ją zakłady w rodzaju „Tomasovii”. Tym właśnie zajmuje się ZEI, który posiada własne magazyny, przeszkolony personel. Dopiero ZEI może stać się odpowiednio operatywnym partnerem „Hortex-Polcoopu”, ZEI organizuje eksport warzyw i owoców oraz ich przetworów z całego kraju, centrala handlu zagranicznego zajmuje się już tylko kontaktami zewnętrznymi. Jeszcze tylko mrozonki pozostały do wchłonięcia w nową strukturę.

Przy okazji dowiaduję się, że z czterech „lubelskich” województw eksportujemy świeże owoce (truskawki, agrest, porzeczki, śliwki, wiśnie, jabłka, gruszki) oraz świeże warzywa (cebulę, marchew, pietruszkę, czosnek). W tym specjalizują się Wojewódzkie Spółdzielnie Ogrodniczo-Pszczelarskie z Lublina, Zamościa i Białej Podlaskiej. Ponadto przetwory (kompoty owocowe, owoce pasteryzowane w puszkach, buraczki i cebulki w occie, ogórki konserwowe) oraz półprzetwory (pułpy owocowe w beczkach, moszce w balonach, przecery, ogórki kwaszone). Swe miejsce w tym eksporcie mają ZPOW w Radzynie Podlaskiej, Krężnicy Jarej i, oczywiście „Tomasovia”. Obsługujemy wszystkie kontynenty, nieraz jakoś jakaś specjalna... specjalność się trafi — ogórki koszerne, ogórki dunskie — na indywidualne życzenie klienta zagranicznego.

Przeglądając się w „Tomasovii” stan daryzacji wyrobów na eksport, spytałem, czy takie same wymagania stawia się produktom przeznaczonym na rynek krajowy i otrzymałem odpowiedź, że normy są identyczne, chyba iż zdarzy się partia towaru, którą trzeba puścić poza normą. Należy sobie winnować, aby takie partie nie zda-

wały się w ogóle! O winie tu nie mówię, bo wina tomaszowskie nie są eksportowane, i w ogóle to oddzielna sprawa.

Pośród tegorocznej produkcji „Tomasovii” wartości 280 milionów złotych — towary na kwotę 55 milionów złotych zostaną wyeksportowane. Reszta — na rynek krajowy. Przede wszystkim — zaopatrzenie województwa zamojskiego, gdzie zakład się znajduje; potem — pozostałe części kraju. Myślę, że są to propozycje właściwe, uwzględniające obecne możliwości zakładu.

Jest nieśmiertelny problem, o który zawsze pytam, rozmawiając z ludźmi z branży przemysłu spożywczego — opakowania! Dyrektor Małec z „Tomasovii” powiada, że z białą nic się nie zmieniło. Noże, siekiery, topory potrzebne nadal do otwierania. Natomiast istnieją poprawa w dziedzinie opakowań szklanych, które produkują nasze huty. Jest w ogóle słuszna tendencja do miniaturyzacji opakowań: jak sobie kawaler kupi produkt i nie zdąży skosztować na raz po otwarciu słoja, na drugi dzień nie będzie miał jedzenia zepsutego, przetwory mają bowiem do siebie, że są trwałe, póki dobrze zamknięte w trakcie pasteryzacji.

Tak więc istnieje przełom w szklanych opakowaniach. Wchodzi na nasz rynek tzw. euroglasy z zamknięciem „twist” o pojemności 0,37 kg (zamiast dotychczasowych 0,45 kg) i 0,72 kg (zamiast 0,90 kg). Oczywiście, będą też dotychczasowe pojemności, w sumie zatem różnorodność się zwiększy. Znowu jeden z drobnych kroków do przodu, który trzeba powitać z ulgą.

Wojciech Kurhan

poczynają normalną pracę klinika oraz wojewódzki szpital psychiatryczny. Dyrektorem szpitala zostaje dr Aleksander Ossendowski.

Trochę wcześniej jednak, bo w styczniu, rozeszła się wiadomość, że w wyzwolonej Częstochowie i Krakowie ocalali urządzenia Instytutu im. prof. Weigla. A szczepionka przeciwtyfusowa to lek na wagę złota, tyfus szerzy się bowiem wszędzie, zwłaszcza wśród żołnierzy frontowych. Trzeba więc zdobyć urządzenia i uruchomić produkcję w Lublinie. W ostatniej dekadzie stycznia dr Kwit z żoną jako tłumaczką z języka rosyjskiego oraz z trzyosobową ekipą wyjeżdża w niebezpieczną wtedy podróż. Po latach tak wspomina ją dr Helena Kwitowa:

— Jechaliśmy dziesiątki kilometrów przez spalone i zrównane z ziemią wsie i osiedla. W pewnym momencie, tuż za Wisłą, wjechaliśmy na zamknięte pole. Dopiero gdy już za sobą usłyszeliśmy wybuchy min położonych na drodze, zorientowaliśmy się, jak niebezpieczną drogą przed chwilą przebyliśmy. Pod Radomskiem zostaliśmy nagle ostrzelani z karabinów maszynowych. Kule świsnęły nad głowami. To ukrywający się w lasach Niemcy dawali znać o swoim istnieniu. Na szczęście tuż przed nami jechała pancerna kolumna radziecka. Za zgodą jej dowódcy przyłączyliśmy się do niej i resztę podróży odbyliśmy pod dobrą opieką... Przywieźliśmy nie tylko szkło laboratoryjne, ale binokulary i niezwykle dla nas cenne ciepłarki.

Kilka miesięcy potem w Zakładzie dr. Chromińskiego przy udziale dr. Krynńskiego uruchomiono produkcję szczepionki przeciwtyfusowej. Pierwsza partia 3 tys. zaszczerpiono żołnierzy wyruszających na Berlin.

Podczas jednej z wędrowek po Lubelszczyźnie w 1945 roku dr Kwit odkrył pałacik Zamoyskiego, pięknie położony w lesie. Zamarzyło mu się sanatorium. A więc nowe starania, ustawiczne wyjazdy wilysem w teren i do Warszawy, kule świszczące nad głowami. Pomagali w tych poczynaniach dojeżdżający ze szpitala we Włodawie dr A. Naumiuk oraz inspektor Wydziału Zdrowia dr Teodor Lipiecki. Wyposażenia sanatorium dostarczyła UNRRA. 23 czerwca 1946 roku wielka uroczystość — w obecności gości z Warszawy i przedstawicieli władz wojewódzkich otwarcie sanatorium na 160 łóżek. A rok później nowa przybudówka do szpitala przy ul. Biernackiego oferuje chorym na gruźlicę prawie 100 łóżek.

W r. 1948 nadchodzi do Lublina duńska szczepionka przeciwgruźlicza. Lekarze duńscy wraz z naszymi lekarzami i pielęgniarkami przeprowadzają pierwsze masowe szczepienia ludności (zaszczerpiono wówczas 200 tys. osób). Dr Kwit zdobywa też trzy pierwsze aparaty małoobrazkowe do zdjęć masowych.

Nowo otwierane poradnie i pierwsza w Polsce Centralna Poradnia w Lublinie coraz lepiej się rozwijają ale brak specjalistów. Toteż we własnym

zakresie zaczęto szkolić kadry. Wykłady prowadzili tej miary fachowcy, jak: prof. Janina Misiewicz, prof. Krystyna Ossowska, prof. Jan Stopczyk, prof. Jan Rudnik, doc. Kazimierz Pęcherek z Rabki, a z lubelskich — dr Helena Mysakowska, dr Cyprian Chromiński i dr Władysław Kwit.

Nie sposób wspomnieć o wszystkich sprawach z tych pionierskich lat, ale godna wzmianki jest historia pierwszej szkoły pielęgniarstwa. Kadry białego personelu były wszak tak samo przetrzebione, jak lekarskie. PP Kwitowie dowiadują się, że do Warszawy wróciła z wojennej tułaczki świetna organizatorka i doświadczona pielęgniarka Władysława Szucowa. Jadą do niej samochodem, przekonują ją i przywożą do Lublina, a stąd do Chelma. W październiku 1947 Szucowa zaczyna organizować od podstaw pierwszą szkołę pielęgniarstwa, a otwarcie jej odbywa się w listopadzie 1948 r.

Jest coraz więcej placówek służby zdrowia, ale potrzeby są ustawicznie duże. Sanatorium w Adamopolu nie może już pomieścić wszystkich wymagających leczenia. Dr Kwit zaczyna więc organizować nowe sanatorium w Poniatowej na 250 łóżek. Nowocześnie wyposażony obiekt zostaje otwarty we wrześniu 1962 r. Jeden z zagranicznych gości powiedział wtedy: „Chciałbym, żeby u nas było choć jedno takie sanatorium”. Również w tym roku powstaje dyspanser przy Wojewódzkiej Poradni Przeciwgruźliczej dla 35 chorych, wyposażony w pierwszy na Lubelszczyźnie aparat do zdjęć warstwowych.

Dr Władysław Kwit, mimo ciężkiej choroby, pracował do ostatniej chwili jako dyrektor Wojewódzkiej Przychodni Przeciwgruźliczej. Przez całe życie poświęcał się tej działalności społecznej. Był członkiem Rady Naczelnej Izby Lekarskiej, jako przedstawiciel Ministerstwa Zdrowia zasiadał w komisji Wydziału Lekarskiego UMCS przy doborze kandydatów na studia, był przewodniczącym Woj. Komisji Weryfikacyjnej, konsultantem wojewódzkim ds gruźlicy, a za zasługi położone przy organizacji Wydziału Lekarskiego UMCS miał prawo wprowadzić co roku na studia dwóch kandydatów, którzy zdali egzamin. Pięciu studentów korzystało ze stypendium im. dr. Kwita.

Wieloletnia walka z gruźlicą wydała owoce. Dziś przestała być ona problemem społecznym. Do walki z gruźlicą mamy piękną, jedną z najnowocześniejszych w Polsce klinikę ftызjatryczną, którą zorganizowała znana działaczka, wybitny ftызjatra, dr Helena Mysakowska, 30 poradni, nowoczesne laboratoria. Pozwolę sobie więc raz jeszcze powołać się na prof. Z. Garnuszewskiego, który tak pisze o działaczach walki z gruźlicą: *Byli oni całkowicie oddani jednej sprawie, żyjąc mniej dla siebie, a przede wszystkim dla chorych, nauki i społeczeństwa. Wskazali nam drogę, którą obecnie kroczymy. Stanowią przykład zarówno dla nas, jak i dla młodych adeptów sztuki lekarskiej, którzy prawdopodobnie dożyją momentu całkowitego opanowania, a może i wykorzenienia gruźlicy w naszym kraju.*



Rys. E. Ingioł

Jerzy Sznajder

### SZCZĘŚCIOKWIATY

K. Galan

popatrz  
daję ci słońce  
w dłoń wkladam  
różę  
bez kolców  
z listkami szczęśliwej koniczyny  
dla ciebie

z listkami szczęśliwej koniczyny  
wychodzę z nocy  
która trwała  
wieczność  
odbierając nadzieję  
zapomniała odebrać wzrok  
który przecież widzi  
i ręce zanurzone  
w gardle pnia

ociekającym żywicą  
paznokciom wybacz  
poufalość  
chciwość  
w miłości zanamiętej  
do dziewczyny  
natury

wybacz topór  
już wbity w drzewo  
i ściętą różę bez kolców  
przyjmij z rąk  
zmytych zimną wodą

### PRZEJAZDZKA W ISTNIENIE

za pięćset przejażdżka  
w przyszłość spojrzenie jest  
droższe bywa tylko  
zakwitaniem zwane  
dla zamydlenia  
oczu nieprzywykłych  
do światła  
droższe bywa tylko  
odwróconymi liśćmi  
energii czerpanie  
na zapas słów  
co z idiotycznym uśmiechem  
w istnienie grają

### NA DUCHA I CIAŁA ODPOCZYNIENIE

stojąc przed  
dylematem zdarzeń z wami  
wypełniając tydzień  
pocałunkami co śmiałym  
przeznaczone na radość  
ducha i ciała odpoczynienie  
w zapomnieniu rozrzuconym  
sobą  
dokonując wyboru  
stawiam dwa do pięciu  
wybieram

# „WOJNA I POKÓJ” W TEATRZE LUBEL- SKIM



Teatr im. J. Osterwy wystawił na otwarcie sezonu 1976/77, w reżyserii Ireny Babel, słynną adaptację powieści Lwa Tołstojego „Wojna i Pokój”, opracowaną w r. 1955 dla „Schiller-Theater” (Berlin Zach.) przez Erwina Piscatora. Na zdjęciu: Kazimierz Śledziński (Pierre Bezuchow) i Lucjan Zabramny (Ranby). Recenzję spektaklu zamieścimy w następnym numerze.

Fot. Z. Zugał

## CHAŁUPA

W tych murach  
gnieździła się kiedyś  
miłość.  
Dowiecie się sami  
wieczorem.  
Jak ucichnie zagajnik,  
jak ostatnie czajki  
pójdą do gniazd,  
jak księżyc zajrzy do okna.  
Muzyka murów opowie.  
Za tynkami

przygaszone śmiechy,  
na przyzbie  
odgłos pocałunku.  
Drzwi cicho skrzącym,  
to dziewczyna  
wraca ze spotkania.  
Dobrze jest  
w domu miłości,  
bezpiecznie.  
Po prostu zwyczajnie,  
dobrze.

## ŚMIERĆ ABSALOMA

1  
Powiedzieli przyjaciele:  
— Jesteś Rzeką.  
Przyjaciele nazwali mnie  
Rzeką.  
Płynę w sobie ciemny  
nurt ukryty w najodleglejszych  
rybitwach pamięci.  
Włosy wiatr rozwiewa —  
Rzeko, Rzeko,  
2  
Absalom — powiedzieli:  
przyjaciele:  
Królewski syn,  
który ukradł serce rzeki.

Cheiał być Rzeką!  
O dumny ziemski królewiczu,  
który nad wodą  
żadnej nie masz władzy.

3  
Stoję — w zielonym  
żołnierskim odzieniu  
jak rekrutowi przystało  
ostrzyżony;  
— Absalomie, synu mój —  
powiada ojciec,  
dlaczego ty także,  
dlaczego ty także  
nie mogłś być Rzeką.

Dobre książki są pod tym  
względem podobne do siebie, że  
to co opisują jest bliższe praw-  
dy niż gdyby działo się rzeczy-  
wiście i zamyka się je z uczu-  
ciem, że wszystko to przyda-  
rzyło się tobie i jest już twoje:  
dobro i zło, zachwyty, żal i ból,  
ludzie i okolica, nawet pogoda.

(E. Hemingway)

KIEDY dopiąłem plecak, sta-  
ry skończył nabijać fajkę.  
Dym szedł równo w krępkie  
powietrze, a stary nasłuchi-  
wał teraz pewnie głosów tych, co  
mieli mi towarzyszyć. Stary z  
pewnością był mądry, bo sta-  
rość zawsze jest mądra w spe-  
cyficzny sposób. Nie widział dużo,  
ale był na Wzgórzu i to napelni-  
ło go prawie całą mądrością jaką  
ogółę posiadał. Teraz przyszła na-  
sza kolej. Czuliśmy ten szczególny  
rodzaj podniecenia, jaki czuje czło-  
wiek, gdy jeszcze da nabrać się na  
nadzieję, że spotka go coś nieco-  
dziennego. Niecodzienne rzeczy, je-  
śli nie liczyć samego znaczenia tego  
słowa, nie istnieją w ogóle. A jed-  
nak mimo tej świadomości czułem  
podniecenie.

Grupka ludzi w białych koszu-  
lach, teraz niebieskich od wczesnego  
dnia, przyszła, by nas pożegnać. By-  
li wśród nich tacy, którzy weszli na  
Wzgórze i ci patrzyli na nas w  
szczególny sposób, jakby z zazdroś-  
cią, że im już się to nie przytrafi.  
Na moje prośby, by zabrali się z  
nam, wzruszali ramionami i uśmie-  
chali się podnieceni.

— Musimy już iść — przyszedł  
do mnie Karol — bo za chwilę  
wезде słońce i wyciśnie z nas  
cały zapas potu. Podejście pod stok  
chciałbym mieć za sobą zanim na-  
prawdę stanie się dzień.

Stary, który to słyszał, potakiwał  
głową i śmiał się pokazując puste  
dziąsła.

Było nas czterech: Karol, Marek  
Andrzej i ja. Kobiety miały czekać  
na nas tu na dole. Nie chcieliśmy ich  
zabrać i one nie chciały iść także.  
Kobiety są jednocześnie za bardzo  
i za mało konkretne na taką wy-  
prawę. Ich kalkulacje zawsze sta-  
nowiły dla mnie niejasność. Zosta-  
wały teraz i żegnały nas ciepłym  
przytulaniem ciał. Tamci żegnali  
nas dotykiem szorstkich dłoni, po-  
klepywaniem i, zwłaszcza ich ko-  
biety, chichotem.

Wzgórze stało nad nami wyzywa-  
jące od pierwszych chwil naszego  
pobytu. Słuchając ciepłych szep-  
tów w dzień i wieczorami, patrzy-  
łem jak kładły się na nim cienie  
lub roztały złote kule. Od dotu  
było pokryte szorstką szczecina la-  
su, ale na szczycie było łyse jak  
kolano i obiecujące. Przypominało  
mi bęszoskwinię w sam raz dojrza-  
łą, pokrytą słowym krótkim włosom  
i pełną soku. Nie było wysokie.  
Było w sam raz, by wejść na nie,  
dobrać się do jego tajemnic, odet-  
chnąć i spacerkiem znaleźć się na  
dole. Nigdy nie czułem pociągu do

wspinaczki, poza krótkim okresem  
mojego dzieciństwa, kiedy to nie  
widziałem jeszcze gór i sądziłem  
że są z piasku, odczuwając wów-  
czas ogromną zawziętość, by wspiąć  
się na nie, kiedy tak myślałem o  
swojej walce. Gdy ujrzałem je na-  
prawdę, przestały mnie pociągać.  
Dopiero to Wzgórze rozbudziło we  
mnie pragnienie silniejsze niż mój  
rozsądek. Miały tam być kwiaty  
i piękno, dla którego nie ma po-  
równania. Tak mówili ci, którzy je  
zdobyli. Mówili o tym wszyscy. Na-  
wet w rozmowie o zwykłych rze-  
czach, gdzieś za nazwami potraw na  
obiad, kryło się pojęcie Wzgórza.  
Ci, którzy tam byli, stawiali się bo-  
gaci przez sam fakt, że znaleźli się

cznie później znalazłem się sam w  
sytuacji podobnej. Wszyscy byli  
piękni, i pogoda i sprzęty też. Bo-  
lał mnie wtedy żąb i daleko mi by-  
ło do zachwyty. Jeśli już człowiek  
wdepnie w piękno, to zrobi z tego  
szarosość.

— To fakt — przyznał Andrzej.

— To żaden fakt — powiedziałem  
i wtedy weszliśmy między drzewa,  
między suty mech i zapach jałow-  
ca i żywicy. Tylko wierzchołek  
świecił w słońcu jak tarcza. Tych  
na dole już ani nie widzieliśmy, ani  
nie mogliśmy słyszeć.

Pot szczyptał naszą skórę i pie-  
kły nas oczy. Wyszliśmy spomiędzy  
sosen i kroczyliśmy teraz jedną

dole, o zacieklej furii naszych ko-  
biet, bo człowiek najbardziej boi się  
śmieszności. Każdy z nas obawia  
się małości własnych czynów, które  
w jego widzeniu są zawsze wielkie.  
O tym powiedział Markowi Karol  
i poszliśmy dalej.

Kolejny odpoczynek zrobiliśmy w  
głębokim parowie, który nagle prze-  
cinał ciemną wstęgą cały bok  
Wzgórza. Nie było tu wca-  
le przyjemniej, ale ziemia pach-  
niała miejscami swoimi natu-  
ralnym, wilgotnym zapachem,  
który był zawsze dla mnie zapa-  
chem życia. Dlatego tu spoczęliśmy.

— Kiedyś czytałem o ludziach,  
których zabrano do wojska, kiedy  
już zrobili się tłuszc i mieli duże  
dzieci. Jeden porucznik zrobił im  
kawał. Kazał im iść wiele mil i  
iść i nie wiedzieli po co. Czują się  
właśnie tak — powiedział Karol.

— My wiemy po co — powiedział  
Marek.

Znowu piliśmy się pod górę, zu-  
pełnie tak jak w moim dziecięcym  
myśleniu. Teraz słońce było prze-  
ciwko nam. Życie w dole, na które  
spoglądaliśmy czasami stając twa-  
rzą do doliny, było rojne, pracowite  
i obojętne wobec nas, za delikatną  
niebieską mgłą. Później nie odwraca-  
liśmy się wcale, bo ten widok  
rozniecał naszą złość bardziej niż  
nasza droga.

Plecaki z jedzeniem wyginały nas  
do tyłu i uciskały nasze plecy. Czule-  
m w płucach ostry ból, którego  
nie mogło załagodzić powietrze. By-  
ło teraz kleiste i gęste, pełne dro-  
bin kurzu, które rozpyłał suchy,  
powolny wiatr. Teraz naprawdę by-  
liśmy bliżej załamania i nie myśle-  
liśmy już wcale o tym, co nas czeka.  
Każdy myślał tylko o swoich odpa-  
rzonych stopach i o tym, że zostało  
już niewiele. Tuż przy wierzchołku  
musieliśmy podciągać się na stro-  
mym krawędziach, które kaleczyły  
nam dłonie. Pierwszy wdrapał się  
Karol i patrzyłem z nienawiścią na  
jego stopy, które już stanęły na  
szczycie.

— Cholera — powiedział, a po  
paru minutach staliśmy tam wszy-  
scy oddychając z trudem i przestę-  
pując w miejscu byle tylko zach-  
ować nadal pozory ruchu i walki.

Przed nami rudziła ziemia jak  
okiem sięgnąć, tak samo spalona i  
martwa, jak na stoku, a może jesz-  
cze bardziej. Nie było tutaj nawet  
skrawka zieleni, tylko pole poszar-  
panej, skatowanej ziemi, odłazającej  
płatami jak niedrowa skóra.

Wróciliśmy szybko, ze wstydem  
i złością, nie odwracając się w stro-  
nę naszej wielkiej pomyłki. U stóp  
Wzgórza popatrzyliśmy jeszcze raz  
na jego wierzchołek i wtedy wszy-  
stko się odmieniło. Wieczorem opo-  
wiedzieliśmy naszym kobietom o  
jego wspaniałościach i o tym jak je-  
go piękno nie pozwoliło nam znieść  
nawet prowiantu, który zabraliśmy,  
ani też pozostawać tam zbyt długo.  
Słuchały cicho, dumne i szczęśli-  
we prawie tak samo jak my. A to  
nasze mówienie było jak mówienie  
o wojnie, kiedy wojny już nie ma.  
Do końca naszego pobytu ludzie z  
osady okazywali nam dyskretny  
szacunek i ich kobiety już nie chi-  
chotały na nasz widok.

## WZGÓRZE

Wiesław Horabik



rys. E. Ingłot

na szczycie. Tylko kobiety nie szły  
z nami. Były za mało konkretne,  
by zrozumieć, że samo wejście tam  
było dobre i były za bardzo kon-  
kretne, by mocować się z sobą dla  
złudnych wartości. Wystarczało im  
to, że my mieliśmy je zdobyć i dla  
nich.

Pod stok doprowadził nas tylko  
wiejski przyglup — Jasio. Właśnie  
dostał nowy garnitur w paski i  
biegł za nami, lub nagle przysta-  
wał, cały czas starając się przycią-  
gnąć naszą uwagę. Został potem  
na dole zagapiony w niebo i jakby  
nagle skarlał i bezdomny. Białe,  
szerokie plamy dłońi wznosiły się  
za nami w dole. Wyszło już słońce,  
kiedy ruszyliśmy naprawdę w górę,  
gęsiego.

Szliśmy wąską ścieżką, wydepta-  
ną nieśmiało przez tych nielicznych,  
którzy szli tędy przed nami. Zanim  
weszliśmy w ciemność drzew, wo-  
kół naszych stóp wałęsały się pol-  
ne maki i dzikie róże o nierównych  
płatkach. Pachniało także dojrzałe  
siano, którego zapach roznosił się  
w tej okolicy wszędzie.

— Tam na górze mam zamiar  
pozostać trochę — powiedział An-  
drzej. — Nie chcę, żeby mi taka  
frajda sfrunęła sprzed nosa zbyt  
szybko.

— Wystarczy, jeśli tam dojdzie-  
my — mówił Marek.

— Nigdy jeszcze nie szedłem po-  
coś, co obiecywałoby mi tak dużo.

— Cholernie jestem ciekaw co  
tam znajdziemy. Ci wszyscy ludzie  
byli tak tajemniczy.

— Wszyscy, co tam byli, wyglą-  
dali na diabelnie szczęśliwych. Ni-  
gdy nie pomyślałem, że coś takie-  
go jeszcze może być.

— Kiedyś lubilem oglądać rekla-  
my — mówił Karol. — Lazilem do  
MPIK-u i godzinami wpatrywałem  
się w pięknych ludzi. Kiedyś, zna-

odkrytą stromizną, na której ziemia  
była ruda od słońca i wyciśnięta z  
życia. Pękła płatami odkrywając  
sympke puste wnętrza. Nasze ciężko  
obute stopy kaleczyły krawędzie  
rozpadlin. Wzbierała w nas złość  
i odurzenie. Nasz wzrok męczył się  
nie mogąc uchwycić żadnego punk-  
tu zaczepienia tam, na samym  
szczycie. Wszystko wokół nas było  
koloru piasku.

— Tak chyba musi być — po-  
wiedział Marek jako pierwszy.

— Zaczekam na was w tym lesie.

Cierpka woda, której wzięliśmy  
dosyć, już nie pomagała. Pomagało  
jeszcze tylko myślenie o tym, co  
nas czeka, gdy już pokonamy sie-  
bie. Najbardziej pomagało jednak  
myślenie o złościwości tamtych na

# RADA ARTYSTYCZNA LUBLINA

Józef Marczuk

**W**LADZE miejskie Lublina, wyłonione w wyborach samorządowych w 1934 roku, odczuwały potrzebę powołania do życia organu zajmującego się zabytkami i estetycznym wyglądem miasta. Inicjatywę utworzenia takiej instytucji poparło zebranie przedstawicieli miejscowego społeczeństwa, zwołane 11 kwietnia 1935 roku w Zarządzie Miejskim, zebrani wyłonili nawet komisję do opracowania regulaminu organu pod nazwą Rada Artystyczna miasta Lublina, który został uchwalony przez Magistrat 29 maja 1935 r. Określa on, że Rada Artystyczna jest ciałem oświatowym i doradczym władz miejskich w sprawach dotyczących zabytków i artystycznego wyglądu miasta. Rada Artystyczna mogła rozpatrywać i wydawać opinie w sprawach projektów budowlanych (zwłaszcza dotyczących budynków miejskich), planów regulacyjnych oraz planów dotyczących rozbudowy miasta. W jej kompetencji były również projekty dotyczące wystaw sklepowych, szyldów, reklam świetlnych, a przede wszystkim sprawy związane z ochroną zabytków.

Rada Artystyczna składała się z 15 członków. Jej przewodniczącym został wiceprezydent miasta Bolesław Liszkowski (od lutego 1937 r. był prezydentem miasta). Wiceprzewodniczącym był Henryk Jakubanis — profesor KUL, a sekretarzem Feliks Petruczyński, kierownik Oddziału Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego. Na pierwszym roboczym posiedzeniu w dniu 25 października 1935 r. Rada wyłoniła trzy sekcje problemowe: architektoniczną, historyczno-zabytkową oraz propagandową.

Organizacyjnie Rada Artystyczna została zespolona z Oddziałem Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego, który stał się jej organem wykonawczym. Podstawowa działalność koncentrowała się w sekcjach. Na zebraniach plenarnych Rady — które odbywały się z reguły co dwa miesiące — sekcje problemowe składały sprawozdania z przebiegu swych prac. Do Rady Artystycznej włączono specjalistów, uczonych oraz działaczy społecznych, inżynierów, architektów, nauczycieli.

Najszerzej Rada Artystyczna zajmowała się sprawami ochrony zabytków, popieraniem turystyki oraz uświadamianiem społeczeństwa o potrzebie estetyki najbliższego otoczenia. Szczególna uwaga została zwrócona na Stare Miasto i jego architekturę. W wyniku prac renowacyjnych i konserwatorskich, inspirowanych przez Radę Artystyczną, do końca 1937 roku dzielnicę Starego Miasta została prawie całkowicie skanalizowana. Intensywnie zajęto się odtworzeniem dawnego wyglądu kamienic Rynku Starego Miasta. Roboty renowacyjne fasad w sierpniu 1939 roku były już na ukończeniu. Pod kierunkiem inż. Czesława Gawdzika dokonana została przebudowa nawierzchni Rynku. Kierownictwo i nadzór nad wszystkimi robotami na Starym Mieście Rada powierzyła inż. Ignacemu Kędzierskiemu.

Dążąc do nadania całemu miastu estetycznego wyglądu, Rada Artystyczna opracowała dla władz samorządowych szereg wniosków i wskazówek do wykorzystania przy pracach budowlanych i renowacji zabytków. Jej członkowie brali czynny udział w posiedzeniach Rady Budowlanej oraz Komisji Regulacyjnej Zarządu Miejskiego. Zamierzenia i plany Rady Artystycznej nie mogły być w pełni realizowane z uwagi na szczupłe fundusze władz miejskich. Mimo to akcja estetycznego porządkowania miasta dawała pozytywne rezultaty. Swidczy o tym fakt, że od 1 grudnia 1935 do 1 grudnia 1936 roku odnowiono fronty 48 budynków oraz usunięto 12 szpecących domów drewnianych przy ul. Zamajskiej i Krakowskie Przedmieście, a w roku 1937 restaurowano 38 fasad domów.

W okresie czteroletniej działalności Rad Artystycznej najbardziej aktywnie pracowała jej sekcja architektoniczna, kierowana przez konserwatora wojewódzkiego dra Józefa Dutkiewicza. Obok wymienionych już prac związanych z ochroną zabytków i upiększaniem miasta, sekcja ta opracowała w roku 1938 projekt hali targowej przy ul. Lubartowskiej oraz projekt mostu na Bystrzycy, opiniowała projekty nowych budowli, opracowała specjalne wzory szyldów oraz przepisy o urządzeniach reklamowych. Zajęła się nawet uporządkowaniem Ogrodu Saskiego oraz zieleńców i plantacji miejskich.

Sekcja historyczno-zabytkowa zebrała i opracowała materiały do broszury o Lublinie. Broszura o charakterze propagandowym pióra dra S. Wojciechowskiego została wydana przez Ministerstwo Komunikacji w nakładzie 20 tys. egzemplarzy. Wydany został również afisz propagandowo-turystyczny w ilości 3000 egz., oraz opracowany scenariusz do filmu krótkometrażowego o Lublinie. Sekcja ta opiniowała sprawę zmiany ulic miasta.

W działalności sekcji propagandowej dominowały prace związane z rozwijaniem turystyki. Organizowano kursy przewodników po Lublinie oraz wycieczki pod hasłem „Poznaj swoje miasto”. Z początkiem 1939 roku udośćniona została do zwiedzania Bramy Krakowska. Sekcja propagandowa współpracowała z Referatem Kultury i Turystyki Zarządu Miejskiego.

Rada Artystyczna zapoczątkowała obchody „Dni Lublina”. Z jej inicjatywy 2 kwietnia 1937 roku został powołany komitet obchodów, na czele którego stanął prezydent miasta Bolesław Liszkowski. Komitet podjął uchwałę o rozszerzeniu imprezy „Dni Lublina” na całą Lubelszczyznę. Rada Artystyczna stawała się organem nadzoru w pracach Komitetu „Dni Lublina i Lubelszczyzny”. Ponad dwuletnie przygotowania uwieńczone zostały imponującą imprezą turystyczną pod nazwą „Dni Lublina, Zamocła i Lubelszczyzny”, zorganizowaną w czerwcu 1939 roku.



Krakowskie Przedmieście w latach trzydziestych XX w.

# HOROSKOPY

Ważne od 18 X do 1 XI

<p><b>BARAN</b> 21 III – 18 IV</p> <p>Jesień jest dla Ciebie raczej szczęśliwa porą roku. Czas jednak dokonać pewnych przemysłów. Znowu jesteś w rozterce. Niektórzy mówią o tobie, że dopiero wtedy jesteś szczęśliwy, kiedy czujesz się nieszczęśliwy. Coś w tym jest.</p>	<p><b>LEW</b> 23 VII – 22 VIII</p> <p>No i jesteś jednak w gorącej wodzie kąpany. Dlaczego tak się spieszysz? Właśnie przez to twój sytuacja nieco się pogorszyła, co bardzo cię boli. Wzrost twoich wrogów, których masz całą armię. Ale zadowolenie i satysfakcja — jako efekt końcowy — ciągle jeszcze przed tobą. Bo przecież ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.</p>	<p><b>STRZELEC</b> 22 XI – 21 XII</p> <p>No i doszło lub dojdzie do konfliktu domowego, ale można się było tego spodziewać. Najważniejsze, że ty nie musisz się wcale winny. Postępuj jednak z rozwagą, nie pozwalaj, aby nerwy rozdrębiły tobie. Ostatni miesiąc się nie zawinił, a po burzy zaświeci słońce.</p>
<p><b>BYK</b> 19 IV – 20 V</p> <p>Ala jesteś nie byle jakim specem od komplikowania sobie życia! Po co tę ostatnią znajomość, traktując poważnie, jeśli sam wiesz, że wszystko — i to z obu stron — jest zwykłą grą. Nie wszystkim jednak należy się w życiu bawić, zwłaszcza gdy sprawa jest tym omykrocie osobom trzecim.</p>	<p><b>PANNA</b> 23 VIII – 22 IX</p> <p>Nie należy mieszać się do spraw, które do Ciebie nie należą. Próba godzenia innych może przynieść wręcz odwrotny skutek i ostatecznie zemścić się na tobie. Nie mać pogodnego nastroju w domu i weź się solidnie do pracy.</p>	<p><b>KOZIOROŻEC</b> 22 XII – 20 I</p> <p>Nie przeceniaj się zbyt. Chwała Ci, to dobrze, ale nie tylko pochwałami człowiek żyje. Twoja sytuacja materialna uległa poprawie, starał się porobić pewne oszczędności, które potem mogą ci się przydać.</p>
<p><b>BLIŹNIĘTA</b> 21 V – 20 VI</p> <p>Nie wszyscy zwierzętnicy lubią ekstrawagancję, nie wszyscy okazują zrozumienie dla dowcipu. Jeśli chcesz awansować, musisz w pewnym stopniu zmienić tzw. styl bycia. Sprawy sercowe układają ci się teraz bardzo dobrze, pamiętaj jednak, że uczucie trzeba stale pielęgnować.</p>	<p><b>WAGA</b> 23 IX – 22 X</p> <p>Nie zwracaj specjalnej uwagi na intrygi, bo ci, którzy starają się tobie zaszkodzić, są pionkami i to bardzo małymi. Nie próbuj ich też pokonywać tą samą bronią, bo możesz się tylko ośmieszyć w oczach poważnych ludzi. Jedyna rada: przeciekać i udawać, jak to się mówi, głupiego.</p>	<p><b>WODNIK</b> 21 I – 18 II</p> <p>Dobrze, że czujesz się tym, co masz, chociaż w pracy mógłbyś wykazać nieco więcej inicjatywy. Dziwna rzecz, że tak szybko zdołałeś zaspokoić swoje ambicje. Niektórzy uważają, że spościesz na laurach. Nie byłoby dobrze, gdyby okazało się to prawdą, bo te laury są bardzo słabutkie...</p>
<p><b>RAK</b> 21 VI – 22 VII</p> <p>Awans, nagroda, ciekawa propozycja, wygrana w Totka? Osoby spod znaku Raka mają teraz znakomity okres, zwłaszcza że i sprawy bardzo osobiste układają się pomyślnie. Nie nie wskazuje na to, że cokolwiek może się zmienić na gorsze. Jednak małe ostrzeżenie: działać trzeba nieco spokojniej i wykazywać więcej skromności. To się naprawdę opłaci!</p>	<p><b>SKORPION</b> 23 X – 21 XI</p> <p>Głowa do góry, wszystko układa się pomyślnie. Najbliższy okres może jednak przynieść pewne niespodzianki, nie zawsze pomyślne, dlatego trzeba się dobrze zabezpieczyć. Jeśli zaś chodzi o sprawy intymne warto pamiętać o tym, że kij ma dwa końce. Przysłowie mówi: Jak Bóg Kubię tak... Władnie!</p>	<p><b>RYBY</b> 19 II – 20 III</p> <p>Trzeba teraz solidnie zabrać się do pracy, zwłaszcza że w najbliższym czasie warto podwyższyć kwalifikacje. Nie można uważać, że wszystko już poza tobą. Świat czeka na ludzi odważnych, zwłaszcza takich, którzy nie zalamują się po niepowodzeniach. Czy to zrozewa rzecznicy, czy to nieowodzenia?</p>

Stella

# PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Dowiadujemy się, że wkrótce wyjdzie w druku dwie tanie edycje „Pana Tadeusza”. Cieszyć się należy, że nasi panowie nakładcy wchodzą nareszcie powoli na tę drogę popularyzowania najcenniejszych plodów naszej literatury, a pierwszeństwo w tym razie niewątpliwie należało się już od dawna temu właśnie poematowi Mickiewicza.

Wyroby ze szkła nielubianego się już ukazywały w jednym ze sklepów tułajskich. W naszych oczach zrzucono po kilkakroć na podłogę z dość wysokiego stołu szklankę z takiego szkła i protyle — bez najmniejszego uszkodzenia. Chodzi tylko o to, ażeby w padnieciu szkło nie trafiło na gwóźdź w podłodze, w takim razie bowiem rozprószyło się na tysiączne kawałeczki. Szkoda, że powyższe wynalazek, dotychczas jeszcze drogi, nie znajdzie szybkiego rozpowszechnienia.

Od pewnego czasu Lublin zaczyna przybierać pozory wielkiego miasta, zwłaszcza wieczorem. Pewien zastęp warstwowi, zamiast pilnować książki, zarostka z całą czelnością kobiety na ulicach. Redakcja nasza otrzymała w tej mierze parę artykułków z prośbą o zamieszczenie, czego wszakże nie czyniła z uwagi na formę anonimowa tych korespondencji. Gdy jednak owa lam-parteria uliczna podług dochodzących nas wiadomości zaczyna przybierać coraz większe rozmiary, ośmielamy przestrzeń małoletnich łowców, że za swa wstrząsłość na tej drodze mogą się łatwo doczekać „lonkanej” nagrody.

Domów w Lublinie jest 896 numerów — a ulic małych swe nazwiska 46. Z tych ostatnich należą do pierwszego rewiru sądu pokoju i sądu śledczego ulice: Krakowskie Przedmieście, Bernardyńska, Dolna Panna Marii, Namieśnikowska, Czechowska, Radziwiłłowska, Początkowska, Zielona, Świebodzka i Szwedzka, a do drugiego rewiru Ronek, Bramowa, Olejna, Jeruzalska, Dominikańska, Archidjakońska, Złota, Reńska, Grodzka, Nowa, Królewska, Zmierząd, Drodzka, Zamajska, Lubartowska, Krawalska, Szwedzka, Raska, Zamkowa, Szwedzka, Dąbrowska, Nadworna, Probotowa, Białobrzewska, Przedmieście Czerwne, Białobrzewska, Góra, Sierakowszczyzna (folw.), Przedmieście Kalinowszczyzna, Ponikwoda (folw.) i Przedmieście Piaski.

19 października — temperatura nagle spadła o kilkanaście stopni. Jeszcze w niedzielę tak było ciepło, że spacerowaliśmy na Krakowskim moście bez całej dotychczasowej odzieży, a dzisiaj 18 stopniowa temperatura w okolicy świętego powiatu, wczoraj w połud-

nie było tylko śladem stopni ciepła, a dziś rano śnieg padał.

Krakowskie Przedmieście ulega obecnie cząstkowemu przebrukowaniu. „Kurier Lubelski”

PRZED 50 LATY

Fragment wiersza Witolda Zechentera: „Październik”, wydrukowanego 12 października 1926:

Jesień blade zasmucenia drzewa  
mgła jesienna w serce schodzi  
suryzje  
wiesz, że teraz dopiero potrzeba  
zastanów się, co to jest życie  
„Ziemia Lubelska”

Los uniknięcia zabiegów między domownikami a lokatorami, przypominamy, że z dniem 1 bm. bramy domów mają być zamknięte o godz. 10-tej wieczór. Rozporządzenie w tym względzie istnieje już od lat kilku i wykonywane jest — potocznie —

Nie tak nie raz jak niechujstwa, stosowane szczególnie przez organizacje, które i swoim zewnętrzny trykiem zdobywać sobie winny powagę. Mówi w tej chwili na myśli te wywieszki straszące i papieru noszone w pisane często nie kaligraficznie, a co się nieraz zdarza i nieortograficznie wywieszają się w przedślonkach poczekalni, korytarzy urzędowych itd. Wywieszki stałe jak np. „wiedzie”, „wiedzie”, „prawa się zamknąć drzwi” itp. winno być estetyczne i z materiału trwałego. „Głos Lubelski”

Spółród cyrków, które w ostatnich latach basyli w Lublinie, goszczą obecnie cyrk braci Stanisławów — Warszawa — zaszukano na nasze naderżnięte. Toteż cieszyć się on uromna frankwencją publiczność, obserwując wspaniałą tursę iów — tursów, znanych w większej części, widom tylko z rycin. Przez tych władców, którzy się biali wielkim nowożytnym, niezaś produkcie słaćców również znakomita woltżerka zbiera sashodną obłaski za brawurowa iade brena i niekie tańce. Elvany komik filmowy do tej rozmiarsza sashodzący swymi sashodnymi dowcipami. Zamotowaś należy udatne wystopy kłownów, tak niemię, warkolomne ewentualnie sashodzące modela akrobaciki. W cyrku panuje wzorowa czystość. „Ziemia Lubelska”

Wybrała: Zofia Luchowska

Kamena str. 13





czas. 2552/1976/21

Fryderyk Podolecki

FOBIA

Wiek XX wnet przeminie,  
My — jak dawniej, po łacinie.

POMOCNA DŁOŃ

Nie tak znów trudno w potrzebie znaleźć  
Dłoń — jak to mówią — pomocną;  
Znalazłem taką jako kawaler  
I do dziś trzyma mnie mocno.

LEKCJA

Ze to nie sprawki są bocianie  
Należy wiedzieć przed rozwiązaniem.



Rys. W. Fuglewicz

Tomasz Krzewski-Księski

TRYPTYK  
CZYLI  
PORANEK URZĘDNIKA

cz. I

(CHUDZIK wstaje)

na anioł pański dzwoni budzik  
z krzywego łóżka wstaje CHUDZIK  
wstaje i ziewa  
(a za oknami leje ulewa)  
senny jest CHUDZIK kiedy dzwoni budzik

cz. II

(oblucje i posiłek CHUDZIKA)

CHUDZIK obmywa chude ciała części  
w kuchni pod kranem jak wszystkie  
nieszczęśni  
a zmywszy — cicho kęs po kęsie łyka  
chude śniadanko pana urzędnika  
cicho żuje CHUDZIK kiedy tyka budzik

cz. III

(CHUDZIK idzie do pracy)

rozmięklą ulicą skroś deszczu i pluchy  
podąża CHUDZIK chuchając w paluchy

Epilog

w postaci CHUDZIKA  
codziennie do trzeciej w papierach za  
biurkiem  
machając pieczątką i gryzmoląc piórkiem  
straszy flegmatyczne widmo urzędnika



Vjon

minuta  
myślenia

Czy pani  
lubi  
wiersze?

NIERAZ to odsuwałem na później. I właściwie nie wiem, czy obecnie dojdę do jakichś rozstrzygnięć. Ale może samo postawienie sprawy wystarczy? Może wywoła czytają refleksje i w ten sposób przyczyni się przynajmniej do uspokojenia nerwów? Poezja. Ścisłe: pisanie wierszy. Mówi się, że czas jest nasycony technicyzmem, że ostatnia ćwiartka wieku dwudziestego to tylko pogon za prymarnymi warunkami istnienia, że jesteśmy polknięci przez molochna cywilizacji i nawet dobrze się w jego brzuchu czujemy. Tymczasem ilość kartek zapisanych niedokończonymi linijkami jest znacznie większa niż w czasach, kiedy się wahało rzeczą. Nie powiem, że sprawa spędza mi sen z powiek, ale

coś tu jest. Coś dla psychologizującego socjologa. Niechby wyjaśnił, dlaczego młodzież od dyskoteki, od zadrukowanej koszuli, od całego tego codziennego happeningu tyle tylko, że nie anonowanego jako impreza non-stop, siada do napisania wiersza. Kłamię? Więc kiedy? Wtedy, kiedy bez trudności daje się angażować przez formy współzycia towarzyskiego bynajmniej nie zapewnijające ujęcia umysłowym zainteresowaniom, czy wtedy, kiedy te wiersze pisze? A może to pisanie jest formą współczesnego rytuału, należy do przyjętego savoir vivre'u?

Piszą. Ale przecież dzieje się to w warunkach absolutnego nizu zainteresowania albo społeczeństwa, ale czytającej publiczności. Wydawnictwa bronią się niskimi nakładami, jeszcze niższymi honorariami, maksymalnymi cyklami produkcyjnymi, wygraszaniem co do tekstów, a oni piszą. Nie przeraża ich, że dziewięć dziesiątych tej produkcji rodzi się skazane na śmierć, bo nie ma się gdzie zmieścić, że wydrukowany wiersz nie zatrzymuje uwagi nawet tyle, co złapana tranzystorem piosenka. Czy nie jest to problem dla jakiegoś prezentologa?

Wbrew nadziei wypowiedzianej na wstępie mogą doprowadzić do rozwydrzenia albo neurastenii, ale udziwiony się w pierś muszę stwierdzić, że nie widzę praktycznego rozwiązania sprawy na gruncie lubelskim. Bo za czym optować? Za tym, żeby mniej było wierszy? To znaczy przekonywać, że może coś z tego dałoby się nie napisać, bo to i owo jeszcze nie za dojrzałe? Czy za tym, żeby oba lubelskie dzienniki otworzyły łamy dla tekstów literackich znacznie szersze, niż to (przyznać trzeba, że dość skąpo) czynią dotychczas? Nie wiem, jaką tu widzieć korzyść poza faktem krótkotrwałej początkowej euforii wynikłej z samego faktu nowości. Nowości która się rychło opatry.

I proszę mnie nie posadzać o złośliwość pod adresem piszących, jak łatwo dałoby się tych kilka słów wyinterpretować. Szukam tylko takiego argumentu, który by miał z sobą jak największą realność, który by potrafił skończyć z praktyką przeciągania liny. Bo wyrzucić opinię pod adresem ośrodków publikacji,

że „nie doceniają”, albo pod adresem młodzieży literackiej, że „grafomany”, jest tyle łatwo, co bezproduktywne. Ani dziennikarzom nie zależy na tym, by pozbyć się pewnej dziedziny zjawisk, jeśli ta leży w obrębie czytelniczego zainteresowania, ani piszący wiersze to nie naiwna gawiedź, której daleko do powagi i pozycji pracowników redakcji. Pewne jest jedno: jak najdalej odejść od takiego sposobu stawiania sprawy, który widzi rozwiązanie w grze sił, jakimi dysponują „grupy nacisku”. Dziennikarska „grupa nacisku” jest choćby przez liczebność silniejsza, ale z tego faktu nie da się wyprowadzić żadnych merytorycznych stwierdzeń.

Zresztą — do diabła! — w tym tylko rzecz? „Dajcie gdzieś drukować”? Dlaczego w tej sprawie widzi się tylko dwie strony. Jest i trzecia: czytelnicy. Za mało się uwzględniła ich obecność na tej wokandzie. Oczywiście, dość trudno ich opinię wysłuchać, statystyki, ankiety i dyskusje nie zawsze dają jej należyty próbkę, ale zwraca uwagę samo omijanie głównego zainteresowanego. Powiedzmy sobie na ucho: a może lubelska publiczność w ogóle nie przepada za poezją? Bo jeśli nie, to uzyskanie możliwości publikowania odbije się przedwójnym o tę możliwość walczącym. Będzie: „Tyle hałasowaliście, dano wam, i co? Czyta z nudów staruszek portier”. Więc rzecz wymagałaby jakichś niezacietrzewionych rozwiązań.

I niechby wreszcie wymogła. Nie chodzi o jedną czy więcej liczną grupę. Chodzi o autorytet miasta. Dlaczego wciąż ma o nim krążyć podskórna opinia, że nie mogą się w nim zrealizować tendencje wymagające trochę snailości i inicjatywy? Powtarzam: nie mam rozwiązania, nie opowiadam się za żadną możliwością. Ale nie do zniesienia jest stan wiecznych niedomówień. Właśnie o domówienia mi chodzi.

Oczywiście druk to tylko kawałek zagadnienia. „Raport o stanie poezji w Lublinie” obejmowałby rozdziałów więcej. Ale jak obiecałem, nie podaję żadnych rozstrzygnięć. Sprawy wniosłem i zmęczyłem się wystarczająco. Idę i ja po waleriane.

bez  
tybubbu

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

-18-

— Nasz kuzyn. Przyjechał w odwiedziny z Olsztyna i przywiózł ze sobą śmierć...  
— Andrzej czuje, że zadat nietaktowne pytania i chce jak najszybciej zmienić temat rozmowy.  
— Ciepło lato chcesz spędzić w Iwoniecu?  
— Wypadaloby. Rodzice cieszą się, kiedy jestem z nimi. A co, masz może jakąś propozycję? — Ostatnie zdanie wypowiedziała zartem, ale Andrzej pochwyił je szybko.  
— Owszem. Mam cały miesiąc urlopu i, jak dotąd, żadnych planów. Moglibyśmy wyjechać do Rumunu lub do Bułgarii.  
— Bardzo chciałabym pojechać na południe, ale przecież to kosztuje kupę forsy.  
— Jakoś poradziłbyś sobie.  
— Jak? Mam na księżeczce PKO tylko tysiąc dwieście złotych.  
— A ja mam ośiem. Razem mamy więc prawie dziesięć. Nie jest to tak mało... Andrzej znów obejmuje

Elżbietę, ale ta delikatnie, choć zdecydowanie, odsuwa go od siebie.  
— Popatrz — szepcze — mama wraca do domu. Mama jest dyskretna, nie wchodzi do pokoju.

Przez kilka dni Elżbieta żyje jak w transie i czuje, że jest naprawdę szczęśliwa. Owoje unikają Brantweiterowej, udaje się to im nadspodziewanie łatwo, ale kiedy wreszcie w niedzielę dochodzi do przypaakowego spotkania, nie należy ono do codziennych. Wszystko dzieje się w parku zdrojowym. Elżbieta i Andrzej siedzą na ławce, są zajęci jedynie sobą, gdy nagle jak spod ziemi wyrasta przed nimi Brantweiterowa. Nie, tym razem nie jest sama, towarzyszy jej mąż — Ryszard!  
— Co się z wami dzieje? — woła. — Myślałam żeście już wyjechali, ale widzę, że sobie spokojnie gruchacie jak dwa gołąbki. Ryśku — zwraca się do męża — chciałam ci przedstawić Elę i Andrzeja.

Ryszard ma minę jakby zobaczył Marsjana, ale Elżbieta, która mogła spodziewać się widoku Ryszarda, szybko odzykuje zimną krewną.

— Miło mi pana poznać — stwierdza — zwłaszcza, że wiele ciepłych słów słyszałam na pana temat od pańskiej małżonki.

— Mnie również miło. — W ustach Ryszarda brzmi to niezbyt przekonująco, ale tylko Elżbieta zauważa charakterystyczne skrzywienie ust, świadczące o zdenerwowaniu jej byłego adoratora.  
— Bardzo dobrze, że was spotkaliśmy — Brantweiterowa mówi bez przerwy językiem. — Pójdźmy dzisiaj po południu do „Krakowiaka” na tańce, no i pogadamy sobie o wszystkim. Chyba nam nie odmówicie, zwłaszcza, że dzisiaj mój małżonek funduje.

Kiedy Elżbieta czyni gest, jakby chciała odmówić, Brantweiterowa chwytą ją za rękę i woła:  
— Nie ma mowy. Musicie być, bo zrobiłbyście mi straszny przykrość.

I oto Elżbieta tańczy z Ryszardem. Tańczy na pewną odległość, on zresztą jest tak tym wszystkim zdenerwowany, że co chwila gubi rytm. W pewnym momencie szepcze:  
— Dziwna historia. Strasznie dziwna. Ale nie wiedziałem, że jesteś tak świetną aktorką. Przecież ona się

niczego nie domyśla. — To „ona” wymawia ze szczególnym akcentem.

— Od ciebie się tego nauczyłam. To ty całe życie grasz jak aktor amatorskiego teatryku. Mój Boże, jak późno się na tym poznałam. Ale lepiej późno niż wcale.  
— Jesteś dla mnie niesprawiedliwa. Zawsze cię kochałem, i teraz diabli mnie biorą, gdy patrzę na tego faceta, który tak się kręci przy tobie. Długa ga znasz?

— Przepraszam, ale co ciębie to obchodzi? Powiedziałem już sobie wszystko, co było do powiedzenia. Poznałam cię tak dokładnie, że nawet twoja zona, która z tobą przeżyła szmat czasu, mogłaby się wiele ode mnie nauczyć jeśli chodzi o twoją szlachetną postać.

— Przeszłam, nie bądź taka złośliwa. I usmiechnij się do mnie, bo patrzę na nas.

Faktycznie — Brantweiterowa, tańcząca z Andrzejem, znalazła się blisko nich.

— Przytul się bardziej do niego — nachyla się do ucha Elżbiety. — On bardzo lubi młode dziewczęta — śmieje się nienaturalnie. Elżbietę przechodzą dreszcze.

Kiedy mogła znów mówić swobodnie, pyta Ryszarda:  
— Słuchaj, czy twoja zona naprawdę o niczym nie wie?

— O czym nie wie?

— No o tym, co było między nami.

— A skąd ma wiedzieć? Dlaczego o to pytasz?

— Bo czasami odnoszę wrażenie, że sobie ze mną pokłucia. I że ona jest w tym wszystkim największą aktorką.

— Przesadzasz. Nigdy bym jej nie posądził o taką inteligencję.

— Nie mogę powiedzieć abyś w stosunku do małżonki swojego syna był zbyt uprzejmy. Ale mnie nie nie dziwi.

— A wiesz co? Jeśli mam być przez chwilę szczerzy to mnie dziwi twój bezczelność. Ostatecznie wdzianasz do brzo, że jestem żonaty, ale wcale ci to nie przeszkadza w niczym...  
Elżbieta czuje, że grunt uszła jej spod nóg. Siła oparunkuje się, aby nie uderzyć Ryszarda w twarz na środku sali.  
— Wrucamy na miejsce. Mam już dość tego tańca.  
— Jak sobie życzysz. Uważaj jednak, abyś nie skomplikowała i tak dostatecznie skomplikowanej sytuacji.  
(cdn)

Wybraliśmy odcinek nadesłany przez p. Ireneusza Zawisłaka z Rzeszowa. Na następną propozycję czytelników czekamy do 22 października.